

Towarzystwo imienia Stanisława Staszica we Lwowie,
ulica Jana Kochanowskiego liczba 2.

»Upasc może i naród wielki,
zniszczyć tylko nikczemny«.

Rok III.

Tomik XXXII.

Pazdziernik 1891.

Przemówienia
KORNELA UJEJSKIEGO

1863 — 1891.

Część I.



L W Ó W.

Nakładem Towarzystwa imienia Stanisława Staszica.

Z drukarni W A Szykowskiego ulica Kopernika 1 5

1892.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor • **Szczepan Wicherek.**

Od Wydawnictwa imienia Stanisława Staszica.

Ogłaszane w pismach peryodycznych przemówienia czcigodnego poety. zebrał już był i wydał w części śp. K. Wild w r. 1877. Obecnie zaś, po przejrzeniu tych przemówień i uzupełnieniu przez samego Autora aż do czasów najnowszych, rzeczy, wygłaszanych publicznie — wydaje Towarzystwo Staszica zbiór ten, który stanowić będzie niewątpliwie miłą pamiątkę i budzić myśli szlachetne w domach polskich.



2016-Dk-10/6



Kornel Ujejski.

I.

Obrona sądowa przy ostatecznej rozprawie w procesie prasowym we Lwowie.

(dnia 10. października 1863 roku).

Proszę, aby Wysoki Sąd pozwolił mi nieco obszerniej i szczegółowiej, niż to uczynił pan prokurator w swoim oskarżeniu, przytoczyć dwa fakta, odnoszące się do nieśmiertelnych imion Potapowa i Aleksandrowa, które imiona podałem do uwielbienia w dedykacyi zbioru moich poezyi pod tytułem: „Dla Moskali“, a za który to czyn znajduję się teraz wobec wysokiego Sądu na ławie oskarżonych.

Znane są całemu światu wypadki w królestwie Polskiem na początku roku 1861. Naród jęczący pod uciskiem mongolskiego zaboru, zrozpaczony, udał się tam, gdzie się udawać powinno każde cierpienie — udał się do Boga. Modlił się o ulgę, o pociechę, o siłę wytrwania, o nadzieję wybawienia; modlił się tłumnie, bo tak radzi kościół, który wierzy, że modlitwa wspólna, zbiorowa, silniejszą i skuteczniejszą jest od modlitwy pojedynczych, odosobnionych ludzi; modlił się śpiewając pieśni nabożne, których treść da się sprowadzić do

kilku słów „suplikacyi“ zaleconych nam przez kościół w razie potrzeby, do słów: Od niewoli zachowaj nas panie!

To udawanie się do Boga, to uznawanie Jego władzy, nie podobały się absolutyzmowi cara moskiewskiego — temu absolutyzmowi, który na swoją korzyść chciałby zdetronizować i Pana Boga. Modlitwę nazwano buntem. Obmyślono środki represyjne. I pewnego dnia, kiedy lud warszawski w procesyi wychodził z kościoła a były tam dzieci z obrazkami świętych, kobiety z książkami do nabożeństwa, kapłani z krzyżami w rękę; do tych dzieci, do tych kobiet, do tych kapłanów, do tego ludu bezbronnego przygotowane wojsko dało ognia. I polała się krew na bruku warszawskim, ta sama ludzka, ofiarna krew, która lała się nieraz na cyrkach rzymskich.

Miedzy oficerami stojącymi przed frontem i patrzącymi na ten mord, był oficer młody, o wolnej, niezdemoralizowanej duszy — nazywał się Potapow. Ten na widok przelanej krwi, na widok tego ludu, przypominającego pierwsze czasy chrześcijaństwa, złamał swą szpadę i odrzucił ją. Zaprotestował on biernie, milcząc, jak protestuje się obrażony majestat czło wieka wobec brutalnej, przeważającej siły. Potapow za ten czyn został rozstrzelany.

Co się tyczy Aleksandrowa odczytam ustęp z korespondencji warszawskiej, umieszczonej w dzienniku „Czas“ z dnia 18. czerwca 1862 r. Oto ten ustęp: „Ruch narodowy w Rosyi coraz jest silniejszy, żądania im dłużej nie zaspokojone, tem bardziej rosnące „w rozmiarach, stają się głębsze i powszechniejsze.

„Odezwy, plakaty, proklamacye w Petersburgu są do-
„wodem coraz groźniejszego usposobienia ludności i
„minowania fundamentów despotyzmu. Jedna z pierw-
„szych proklamacyj, rozrzucona w tysiącach egzempla-
„rzy pomiędzy wojsko w Petersburgu, wzywała wojsko
„przeciw despotyzmowi; druga zatytułowana: „Zi e m-
„s k a j a D u m a“, jawnie i stanowczo postawiła żąda-
„nie konstytucyi; trzecia „R u s k a j a P r a w d a“ żąda
„niepodległości Polski i godzi ruch rossyjski z polskim;
„czwarta poświęcona jest wspomnieniom Aleksandrowa,
„skazanego przez sąd wojenny w Warszawie do kopalń
„syberyjskich. Historję Aleksandrowa opisano w ode-
„zwie w następujący sposób: Przed 8. kwietnia r. b.
„jenerał Luders telégrafował do Petersburga, że spo-
„dziewa się manifestacyi w tym dniu, jako w rocznicę
„rzezi i pytał się o instrukcye postępowania z manife-
„stacyą. Cesarz kazał Ludersowi najsurowiej postąpić,
„użyć siecznej broni, a gdyby ta nie pomogła, karta-
„czować lud warszawski. Kapitan Aleksandrow był
„przy urzędzie telegraficznym i depesze wręczał Luder-
„sowi. Powyższą depeszę zniszczył i zmienił ją na de-
„peszę rozkazującą postępować najłagodniej i działać
„perswazyą. Po skończonym dniu, Luders doniósł, że
„były po kościołach nabożeństwa żałobne i palmy i
„korony cierniowe, lecz stosownie do rozkazu cesarza
„działał łagodnie, i dzień przeszedł spokojnie. W Pe-
„tersburgu zdziwieni takim raportem, napisali, że nie
„rozumiał rozkazu. Rzecz się wkrótce wykryła. Ale-
„ksandrow, zapytany przez Ludersa, od razu odpowie-
„dział, że zmienił treść depeszy. „Czy wiesz, że to
„jest zdrada stanu?“ zapytał Luders. „Wiem“ odrzekł

„kapitan. „Czy wiesz co czeka cię za taki postępek!“ „I to wiem“ — odrzekł spokojnie Aleksandrow — ale „uważałem, że pożyteczniej jest, żebym ja zginął, niż „żeby tysiące ludzi miało być wymordowanych“. Od- „dany pod sąd skazany został w 24 godzin na roz- „strzelanie; car wyrok zmienił na dożywotnie roboty „w kopalniach, do których został wywieziony“.

„My tutaj w Warszawie nie wiedzieliśmy o „całym wypadku, który opisałem według odezwy pe- „tersburskiej. Odezwa szczyci się Aleksandrowem jako „chlubą Rosyi i zachęca do naśladowania go“.

Tyle z korespondencji warszawskiej do „Czasu“.

Oskarżył mnie pan prokurator o pochwalenie tych dwóch czynów. Nie czuję winy w sobie, nie pojmuję jej nawet. A jeśli ma być winą, zem się urodziłem człowiekiem — wyrzut ten nie mnie dotyka, dotyka mego Stwórcy. Nie ja się zrodziłem, zrodzono mnie. Zrodzono mnie z ciałem i z duszą: do posługi ciała dano mi zmysły, do posługi duszy, myśl i uczucie. Dano mi prawa przyrodzone. Rządy, złe czy dobre, biorąc człowieka pod swoje prawa i opiekę, zmuszone są koniecznością przyznać mu niektóre jego prawa, dane mu przez naturę. Inaczej ludzkość stałaby się martwym towarem ze znakiem kupieckim na pące. Tak nie jest, tak być nie może. Człowiek jest człowiekiem. Wolno mi patrzeć, wolno mi słyszeć, wolno mi czuć!

Stworzył Bóg człowieka na podobieństwo swoje; skłonił jego zmysły ku piękności a jego duszę ku prawdzie. Prawda jest pięknością moralną. W tych dwóch czynach, za których pochwalenie oskarża mnie p. prokurator, jest wielka piękność moralna. Bódcem dla

Potapowa i dla Aleksandrowa była litość podniesiona aż do poświęcenia. Odczuje tę piękność każda dusza ludzka bez względu na różnicę religii, narodowości, wykształcenia; każda dusza bez wyjątku, która nie starła w sobie podobieństwa Bożego. Na wieść o tych dwóch czynach, tysiące serc po różnych kątach ziemi uderzyło silniej; będące w upadku grzechów, podniosły się ku dobremu, będące w upadku zwiątpienia, podniosły się ku wierze. I ja odczułem piękność tych dwóch czynów. Czy może istnieć prawo, które chciałoby karać mnie za takie uczucie? A gdy mam wolność tego uczucia, i przypuściwszy, że jestem niemową, czy za łzę uwielbienia spływającą po mojej twarzy pociągnięto by mnie do odpowiedzialności. Obdarzony mową, zamiast wylania mileżącej łzy, miałem możność wykrzyknąć: Jakie to piękne! Moja dedykacja jest takim wykrzyknikiem drukowanym.

Pan prokurator opiera swoje oskarżenie na jednym z paragrafów ustawy karnej i twierdzi, że ów paragraf wzbrania mi tego wykrzyku. Chyba stoi w tym paragrafie, że mi nie wolno być człowiekiem! Że zacytowany przez pana prokuratora paragraf mylnie był naciągnięty do mojej sprawy, dowiedzie ze stanowiska prawnego szanowny mój obrońca, któremu dalszą moją obronę powierzam.

II.

W stuletnią rocznicę zawiazania Konfederacyi barskiej, na zebraniu młodzieży we Lwowie.

(dnia 29 lutego 1868).

Idea choćby najwznioślejsza i najświętsza, jeśli ma porwać i pociągnąć za sobą masy i stanąć przez nie zwycięsko, musi wprzód ucieleśnić się w człowieku. Na takiego człowieka, bohatera-zwycięzcę, przewodzącę i przedstawiciela ducha narodowego, na taki żywy poruszający się ołtarz ojczyzny, czekamy wszyscy w tęsknocie. Człowiek ten podbije od razu wszystkie duchy siłą i miłością. Będzie on miał potęgę lwa, połączoną z bezzłociowem sercem gołębia. Przeciw obłudzie postawi on szczerość. Prawem mu będzie sumienie, a każdy jego czyn będzie jasny jak miecz wydobyty z pochwy, błyskający ku słońcu. W duszy jego nie powstanie nigdy to uczucie złe i niskie cechujące ludzi małych, to uczucie, które ma swój wyraz w słowach: „Przedewszystkiem — Ja!” Zespoli się on z ojczyzną; on i ojczyzna, to jedno. Władzy on nie zapragnie, nie pomyśli nawet o niej, i przyjdzie ona sama do niego, i weźmie ją jako ciężar, jako krzyż po-

święcenia i zaparcia się. A kiedy wypełni swoją misję, złoży on pokorny władzę napowrót w ręce narodu — a sam usunie się w kąt.

Z boleści matki rodzi się dziecko każde, z męczarni narodu powstaje człowiek taki. Nasze ostatnie męczarnie są tak wielkie, tak przekraczające wszystkie znane nam miary, że pełną piersią wierzyć możemy, iż ten człowiek przeznaczenia, gdzieś na ziemi polskiej już jest! jest, rośnie i bezwiedny siebie czeka, aż nań Bóg zawoła.

Może niedorosłym młodzieniaszkiem patrzył on temu lat kilka na pożary wiosek naszych; może ukradkiem po nocach sypał mogiły poległym... Zkądkolwiek on wyjdzie, z pałacu, czy z chaty, czy od warsztatu, niech będzie błogosławionym! Oby nadzieja oglądania go ziściła nam się jak najrychlej!

Cześć i powodzenie temu wielkiemu Nieznajomemu!

III.

Z powodu zakończenia odczytów historycznych H. Schmitta we Lwowie.

(d. 8 kwietnia 1868).

Szczęśliwy jestem, że na moje usta padł zaszczytny wybór, aby one wypowiedziały ci, szanowny prelegencie, w imieniu całego zgromadzenia wdzięczność za dokonane znakomite wykłady, któremi rozświeciłeś jedną epokę z naszych ojczystych dziejów, epokę nam najbliższą i najboleśniejszą, a tem samem najwięcej nam dającą nauki na dziś i w niedaleką przyszłość.

Przy wydarzonej sposobności dotarłeś, szanowny historyku, do wielkiego zbioru rękopisów odnoszących się do tej ważnej epoki. Wytrwałą i niezmordowaną pracą, bystrością swego umysłu, wydobyłeś z tych ukrytych skarbów niejeden fakt zatarty w pamięci ludzkiej, nie jeden nowy pogląd na fakta znane. Podałeś nam historię rozbiecia narodu i jego pasowania się. Obszerny bardzo przedmiot wyczerpałeś bardziej niżeli ktokolwiek przed tobą. Wykłady twoje dały nam miarę twojej pracy i talentu; sposób w jaki nam je wypowiedziałeś, czyni zaszczyt twemu sercu i twojemu

charakterowi. W twoich słowach czuliśmy gorącą miłość ojczyzny, czuliśmy hart duszy i siłę jej przekonań — hart mężów zawsze wolnych, zawsze niepodległych, chociażby stali pod najgorszym uciskiem, pod najcięższą niewolą, lub co gorsza i niebezpieczniejsza, chociażby stali — pod pokusą.

Roztoczyłeś przed nami obraz straszny, ciemny, przerażający; z pod jego czarnego tła wydobywają się gdzie niegdzie ogniste strzały zakrytego słońca. Tem słońcem jest niespożyty duch narodu... a więc to tylko chmura przemijająca, a tą chmurą były i są grzechy nasze. Niech nikt nie mówi, że na naszym narodzie popełniono morderstwo — popełniono tylko gwałt! Zabić narodu nie potrafi nikt, ani Bóg. Tak, ani Bóg! bowiem powiedzianem jest, że i On Wszechpotężny bez naszego własnego przyczynienia się nikogo z nas ani potępić ani zbawić nie może. Ale on rozrządza ogromną i niezgłębianą potęgą, rozrządza wedle swej woli promieniem swego oka, pełnego łaski i miłosierdzia; gdy odwróci twarz, to grzesznicy stojący na pochyłości grzechu szybciej spadamy w przepaść; gdy popatrzy na nas — podnosimy się łatwiej. I jeszcze raz powtarzam, przez morderstwo żaden naród zginąć nie może, ale zginąć może — przez samobójstwo!

Okropny, zaprawdę, był obraz naszego społeczeństwa z drugiej połowy ubiegłego stulecia. To społeczeństwo podobnem było do wielkiego gmachu. Stał on zbudowany na twardej, błogosławionej ziemi wielkich tradycji narodowych. Fundamentem szerokim z nieociosanych brył granitu był lud i połączone z tym ludem, bo wyszłe z niego mieszczaństwo; nie wyniesio-

ne nad poziom, ginęło ono w mroku ziemi. Na tych fundamentach wspierał się kilkupiętrowy budynek hierarchii szlacheckiej. Dolna jego część składała się ze surowego, ale przeważnie zdrowego materiału, a czem dalej w górę, tem gorzej: tam już ściany lepione z morszałej gliny, gdzie niegdzie przetykane zdrowymi kamykami, cóż z tego, kiedy bez łączności ze sobą. A na takim budynku dach możnowładztwa spleśniały, zarażony roztaczającym go grzybem zepsucia — dach podziurawiony, przepuszczający przez siebie każdy wichher, każdą plutę zewnętrzną — sam gnijący i rozszerzający zgniliznę na cały budynek. A na tym dachu, król — jedwabna chorągiewka. I czyż tego rodzaju gmach mógł się ostać?... Runął!... Już prawie od wieku czyścimy i równamy plac, poramy się w tych gruzach; znaleźliśmy w nich wiele jeszcze dobrego materiału — a co najważniejsza, fundamenta zostały!...

Przyznanie się do błędów to pierwszy szczebel do każdej poprawy. Już raz trzeba nam przyjąć tę prawdę, chociaż ona gorzka: Upadliśmy przez nasze własne winy. Gdyby Polska zdobyła się była na jedną chwilę zapału i ofiary, na jedną taką chwilę, na jaką równocześnie zdobyła się Francya w wiekopomnej nocy 4. sierpnia, w której uprzywilejowani rzucili w ogień płonący na ołtarzu miłości ojczyzny wszystkie wyłączne swoje prawa, wszystkie tytuły i przywileje, i podnieśli cały naród do równej godności obywatelskiej, lud rozkuli z pęt, dali mu ziemię i swobodę i powiedzieli mu: „Macie czegoście pragnęli, a jeżeli wróg nadejdzie, brońcie tych nabytków!“ Gdyby

tak było się stało, Polska mogłaby była odeprzeć wszystkie na nią idące burze i trwałaby po dziś dzień.

Naród tem być powinien, czem był w dawnem pojęciu król: wyrazem najwyższej władzy — lecz dziś w tem on tylko podobny do mocarza, że lubi pochlebstwa, a nie znosi prawdy. Król dowiadywał się o prawdzie z ust nadwornych trefnisiów; dziś kryje się ona często w pismach satyrycznych. Kto pochlebia narodowi jako władzy, ten jest niegodnym jurgieltnikiem, zapłata mu popularność. Żaden potężny król nie miał tylu schlebiaczy, ilu ich miał nasz rozbity naród. Głaskano ciągle jego uszy harfianem słowem: Niewinna ofiario! jakże ci pięknie w aureoli męczeństwa twego! A należało do narodu ciągle przemawiać: Marnotrawco! roztrwońłeś wielkie skarby — jakże ci brzydko w łachmanach żebraka! I źle robią ci, którzy mówią: Czekajcie cierpliwie i bądźcie dobrej myśli — Polska będzie! A należy mówić: Nie będzie! jeżeli na nią sami zapracować nie zechcemy. Jeszcze raz: Upadliśmy przez naszą własną winę i podnieść się możemy tylko przez naszą własną zasługę. I tu odnieść się muszę z uznaniem do ciebie szanowny historyku: Pochlebcą nie byłeś nigdy, przeciwnie, liczysz się do ludzi zasłużonych a mało sympatycznych, którzy narodowi nieraz gorzkie prawdy mówili.

Wykłady twoje zostawiają po sobie skutki ważne; zbogaciły one naszą wiedzę, zahartowały ducha, przypomniały wiele rzeczy, z których niejedną zbawienną możemy wynieść zasadę i naukę; a to przekonanie będzie dla twoich trudów najpiękniejszą nagrodą.

Wiemy teraz, na przykład, jak jest niebezpiecznie wiązać się z mocarstwem, o którego obłudzie mieliśmy sposobność przekonać się nieraz — (plany... Czartoryskich); jak jest nikczemnie oddawać się w opiekę temu państwu, które ledwie nie wczoraj najeętymi i płatnymi zbrojcami mordowało naszych ojców, rozparało żywoty naszych matek — (rzeź... humańska); jak jest niekorzystnie dla tak zwanego, „dobrze zrozumianego interesu kraju“, robić ustępstwa z tego, co powinno być najdroższem, czy to dla pojedynczego człowieka, czy dla narodu — z własnej godności; jak chcąc takim kosztem ocalić coś, traci się potem wszystko, i idzie się gorzej niż w zatrącenie imienia, idzie się w śmierć moralną — (sejm... grodzieński). A z tą zasadą i nauką: Lepsza podniesiona i gorąca pięść wroga, niżeli jego uśmiech.

Wiemy teraz także, z jak okropnem świętokradztwem frymarczono u nas nazwą patriotów, jak pod to święte imię podszywali się nie tylko ludzie ambitni i przedewszystkiem patrzący własnej korzyści, ale nawet jawni zdrajcy, którzy zostawiali na żołądź wrogów ojczyzny.

A żądą zasada i nauka: Zawsze nadzorować ludzi, którzy pracując w sprawie narodu, mają przy tem także osobiste zyski, czy to w znacznych pensjach, czy w zaszczytach, czy w zadcowoleniu dumy, gdy stoją u steru.

Na koniec, nie mogę pominąć uwagi, która mi się gwałtem nasuwa. Zakończyłeś, szanowny historyku, swoje wykłady w jednym z pierwszych dni wielkiego

tygodnia. Szereg twoich wykładów był jakby odbiciem tych dni, które teraz następują: to dnie Judaszowych zrad, Piotrowych zaprzań i Piłatowych sądów, to dnie męki i krzyżowań. A potem? Wszak wiecie, jaki dzień się zbliża — dzień zmartwychwstania. Mówiłem o zmartwychwstaniu ducha narodowego, który od pewnego czasu zamiera między nami. Po takim zmartwychwstaniu następuje inne.

IV.

Na pogrzebie ś. p. Artura Grottgera we Lwowie.

(dnia 4. lipca 1868).

Stoimy w około drogiej trumny, wróconej nam z obcej ziemi — nie obcej, bo gościnnej, od dawna nam przyjaznej, a co więcej, pokrewnej duchem: ona przybyła od naszej siostry Francyi. Tę trumnę, która pożegnana przez nas, za chwilę zejdzie w cień grobowy, tę trumnę przychodzi nam oraz witać. Jakie to bolesne powitanie! W niej spoczywają zwłoki Artura Grottgera. Umarł młodo, zaledwie licząc lat trzydzieści, a zostawił narodowi dzieła, które przetrwają wieki; żył ubogi, walczył nieraz z niedostatkiem — a zostawił narodowi skarby, dla których nie ma ceny.

Mówię w obec nader licznej i szerokiej publiczności, składającej się ze wszystkich warstw społecznych; niechże mi wolno będzie, dla tych, którzy kochają Ojczyznę dla jej imienia świętego, a mało wiedzą o jej dziejach i o jej synach zasłużonych, przebieść w krótkości życie i działanie tego nieodżałowanego młodzieńca, dla oddania któremu przynależnej i ostatniej czci, zebraliśmy się w tem miejscu.

Artur Grottger urodził się między nami, urodził się na wsi, z rodziców zacnych, przejętych patryotycznym uczuciem, a którzy trzymali dzierżawą wieś Otynowice o mil ośm ode Lwowa odległą. Dzieckiem za ledwie wyrośniętem z pieluch, ukochał on tę polską ziemię. Jej kształty, jej dźwięki uderzały w jego wrażliwą i miłującą duszyczkę. I równocześnie dwa poczucia, dwa popędy, dwa wybitne talenta: do muzyki i do rysunku odezwały się w ubłogosławionem iskrą bożą dziecku. I jak to się dziwnie złożyło: matka jego była znakomicie wykształconą w muzyce, a ojciec w sztuce malarskiej. Rodzice stali się nauczycielami ukochanego syna — i wnet spostrzeżono, że talent do rysunku widocznie w nim przeważał. Więc matka, niewiasta-polka, a już i z tego drugiego tytułu skora do każdego zaparcia się, nie chcąc łamać zdolności syna na dwa prądy, usunęła się ze swą nauką, zostawiając ojcu wyłącznie kształcenie go w rysunku. Chłopiec nieco więcej liczący nad lat dziesięć, stał się wkrótce podziwem całej okolicy ze swego olbrzymiego talentu. I przy sposobności odwiedziu cesarza austriackiego tej części Polski, którą nazwano Galicyą, wyrysował jego wjazd do Lwowa. Rysunek został przedstawiony cesarzowi. Cesarz obdarzył młodziutkiego artystę dość znacznem stypendyum dla dalszego kształcenia się; jakoż udał się Grottger do szkoły malarskiej, najprzód w Krakowie a później we Wiedniu. W tej ostatniej celował tak, że go umieszczono w oddziale nazwanym „szkołą mistrzów“.

Nadszedł rok sześćdziesiąty pierwszy, rok wielki i błogosławionej pamięci. W nim nasz naród choć

ogołocoony z sił materyalnych, lecz potężny duchem, stawiał opór barbarzyństwu najobszerniejszego mocarstwa w świecie. Grottger był artystą, t. j. miał duchową siłę; Grottger był dobrym synem ojezyny, t. j. obracał tę siłę na jej pożytek. I wyrysował natenczas pierwszą seryę obrazów pod tytułem: „Warszawa“.

Przed siedmiu laty wielu z was, kochani rodacy, współuczestniczyło w uroczystości postawienia tego bliskiego, dębowego krzyża na pamiątkę ofiar warszawskich... Wszak prawda, o krzyżu! godle i pamiątko dwóch męczeństw, ty niewiedomie przedłużasz w tej chwili twe ramiona, aby osłonić grób tego, który uświetnił i przekazał światu fakt wiekopomny w dziejach ludzkości, a za łaską bożą przez nasz naród podniesiony!

„Warszawa“ Grottgera za pomocą fotografii, jakby w iskrach elektrycznych rozsypała się po Europie w tysiącznych egzemplarzach. Działała ona potężnie na masy ludów; stała się w obec nich orędowniezką sprawy Polski — i propagatorką tej wielkiej jej idei, że duch góruje nad siłą brutalną, panuje nad nią, a w końcu tego buntownika przeciw duchowi — zgniata i zwycięża. Tego rodzaju propaganda nie mogła podobać się rządowi absolutnym. We Wiedniu, ubóstwiającym cielesność, działy się rzeczy niezwykajne: Przed wystawami sklepów, w których na widok publiczny rozwieszano obrazy Grottgera, stawały tłumy przechodniów; oni wracali z jednej uciechy i spieszyli zapewne do innej — mimochodem zatrzymali się na chwilę, aby oglądnąć nowość. I stali długo jakby przykuci — bo te obrazy odkrywały nowe, nieznane im światy; i stali zaniepokojeni, smutni, a odchodzili ze spuszczo-

nemi głowami już nie na miejsca publiczne, ale — między rodzinę do domu. Na tak niebezpieczne objawy ówczesny rząd austriacki nie mógł patrzeć obojętnie; nie miał on już ani siły, ani odwagi przeszkadzać dalszemu rozpowszechnianiu obrazów — ale przysłał ich twórcy wyraz swego nieukontentowania z dodatkiem groźby, że jeśli artysta z podobnemi utworami jeszcze raz wystąpi, cesarskie stypendyum zostanie mu odebraniem.

Tymczasem wybuchło nasze powstanie; krwawiło się ono w obec pogańskich samolubnych rządów, w obec przerażonych a bezwładnych ludów. I wkrótce to drogie dziecko polskie, ten ukochany syn ojczyzny, miał sposobność odpowiedzieć na objawioną mu groźbę — i któż nie wie, jak odpowiedział? odpowiedział nową seryą patryotycznych obrazów, odpowiedział: „Polonią“! Poczem utracił stypendyum.

Ten uszczerbek zachwiał na zawsze jego materialnemi stosunkami i stał się źródłem nie małych w jego dalszem życiu zgryzot, bo Grottger był opiekunem i podporą swej rodziny, a przytem serdecznie zawsze wylanym dla swych przyjaciół.

Przytoczony ostatni rys kreśli nam całego człowieka — on powie już resztę o nim — on mówi wszystko. On świadczy, że Grottger stał pod łaską wysokiego natchnienia, czuł w sobie jego uświęcenie, poddawał mu się, jak dobre, posłuszne dziecko, ślepo i w pokorze, a przytem wiedział, że ludzie natchnienia są tylko misternemi narzędziami w ręku Boga, i że im nie wolno tak świętego daru używać dla swoich osobistych widoków i korzyści, bo inaczej duch wieszczy

odstąpi ich i odleci — na długo, nie raz na zawsze. Toż śmiało twierdzę, że Grottger był ostatnich czasów jedynym wieszczem narodu. Najgodniej i najgieniałniej przedstawił on w swoich utworach ducha Polski. Dzisiejsza Polska: to ból i wiara; ból niezgłębiony i olbrzymia wiara. I te dwa charaktery występują we wszystkich dziełach Grottgera.

A gdzie wiara, tam zwycięstwo! Tak — choćby mnie miano obyczajem wieku nie kamieniem, ale śmiechem ukamienować — powiem: W ostatniem naszym powstaniu nie nasz wróg zwyciężył — myśmy zwyciężyli!! Jeżeli to słowo nie znajduje przystępu do dusz waszych, zapytam obecnych kapłanów: Podczas naj-sroższego prześladowania kościoła, kto był zwycięzcą czy Neron, czy Chrześcijanie?... (Głos kapłanów: „Chrześcijanie!“). Dziękuję wam. Otóż tę myśl wypowiedział także Grottger w swoich rysunkach.

Patrzcie na tego kapłana, kiedy zamyka znieważony kościół, jaki on spokojny — bo zwyciężył! Patrzcie na tego katorżnika z podniesionym nad bryłą młotem, to zwycięzca! Patrzcie na tego trupa, nad którym klęczy skamieniała matka: twarz jego przepełniona szczęściem! Patrzcie na tego litewskiego leśnika, kiedy się rzuca w tłumy wrogów: to tryumfator! albo na jego żonę zagrzebaną w kopalni, klęczącą przed jawiącą się Matką Boską: to święta! albo na tego chłopą prowadzonego przez szlachtę, niosącego chorągiew: on wie, że idzie w przyszłość, że w jego rodzie znajdzie się kiedyś senator! albo na tego rabina, postępującego za pogrzebem arcybiskupa warszawskiego: on zaczyna pojmować Chrystusa!...

Tak było! tak działało się rzeczywiście! a ten, który to wszystko ogarnął, pojął i objawił nietylko Polsce, ale całemu światu — w tej trumnie spoczywa.

I jakże mu się naród odpłacił? Najznakomitsze jego dzieła nie mogły w kraju znaleźć kupca, i przejść musiały w obce narodowi ręce. Tylko jeden z naszych bogaczy uczcił geniusz Grottgera, był mu nieraz pomocą i podporą — ale to człowiek wyjątkowy, gdzie tylko potrzeba, lub myśl narodowa, jego hojna ręka wszędzie. A nawet i teraz — zebrani w kilkuset delegacji Towarzystwa kredytowego, reprezentanci całego kraju, nie chcieli na inny dzień odłożyć swoich czynności, ażeby uczcić żałobny obchód tak wielkiej w narodzie znakomitości, i w tej chwili odbywają swoje posiedzenie, radząc tam zapewne nad nierównie ważniejszymi sprawami. O goryczy, bądź odemnie daleką! Pójdę za myślą grobów. Groby przebaczą, bo same nieraz pragną przebaczenia. Ten — niewinny! a wiem o tem, że przebacza winnym

Po utworzeniu „Polonii, Lituaniki i Wieczorów zimowych“, udał się Grottger, już chory, do Paryża. Tam na ostatniej wystawie przeszłorocznej okazał ostatnie swoje dzieło: „Wojnę“. W tej „Wojnie“ przedstawił całą jej straszną grozę. A i z tych obrazów wieje także myśl polska: nadzieja jej prorocza, chociaż w daleką sięgająca przyszłość, nadzieja pełniącej się miłości ewangelicznej we wszystkich stosunkach i zajęciach międzynarodowych. Bo każda wojna jest bratobójczą, a Polska tradycyjnie miała wstręt do niej; wojen zaborczych nie znała, a podniesienie oręża swego nazywała „potrzebą“, to jest koniecznością.

Imię Grottgera rośło, nabierało coraz większego znaczenia i powagi. Otwierała mu się przyszłość piękna, spokojna, szczęśliwa — bo zdobył sobie sławę w całym świecie artystycznym, a w ojczyźnie zdobył serce dziewicy, godnej jego ducha i miłości, i miał z nią wkrótce zawrzeć śluby małżeńskie. I w takiej chwili — zapadając coraz bardziej na piersiową chorobę, wysłany przez lekarzy do południowej Francji, w kilka dni po przybyciu do Amélie les Bains — umarł.

Śmierć jego przedwczesna jest tajemnicą Opatrzności. Nie godzi się nam stawiać zapytania: dla czego? My tylko tyle wiemy, że w strasznej dla narodu chwili ś. p. Artur Grottger był jego wieszczem-pocieszycielem, dokonał dzieła — i został odwołanym.

Z głębokim bolem żegnamy się z tobą, drogi nasz Arturze, a jednak z każdego bólu i smutku należy nam chrześcijanom a mianowicie Polakom, wychodzić ze siłą i wiarą. Pocieszać ciebie matko, lub ciebie jego narzeczono, byłoby w ustach człowieka bluźnierstwem — to rzecz Boga. Mnie tylko wolno na widok tej trumny wydobyć z niej nie słowa pociechy, lecz wiary.

Wierzmy, że trumny są kołyskami nowych żywotów — o wy biedne, z rozdartem sercem, patrzcie! może w tej trumnie anioł się kołysze! Wierzmy, że w ziemi leżą gdzieś nigdzie zwłoki tak szczęśliwe, iż mieć będą dwa wstrząśnienia — o jedno więcej, niżli wszystkie inne. Drugie będzie ogólne, przy zmartwychwstaniu ciał na głos trąby sądu ostatecznego; pierwszego wstrząśnienia doznają tylko zwłoki wybranych

i zasłużonych: przy zmartwychstaniu Polski! Twoje popioły, Arturze, poruszą się także.

Wierzimy, że twoja trumna jest poprzedniczką innych, że trumny rozrzucone po obcych ziemiach, kryjące zwłoki naszych braci zmarłych w tęsknocie na tułactwie, gotują się do podróży — i słychać po nich szmer radcsnej nadziei: Może wkrótce zawezwą i nas i odbiorą do wolnej Polski!

O Boże! kiedy to?

A teraz wielbny kapłanie, przewodniczący temu smutnemu obrzędowi, rozpocznij nad tą trumną przekazane nam przez kościół, święte modlitwy — a potem uświęconą swą ręką rzuć na nią garść tej ojczystej ziemi, którą ś. p. Artur całą duszą kochał, a która na jego przybycie czekała. Niech ona posypie się z twej dłoni jakby łzy matki spadające, i niech mu będzie błogosławieństwem; niech świadczy za nim przed Panem, niech mu wyjedna przebaczenie za małe a ludzkie ułomności jego, i niech uprosi, aby został wliczony w legion aniołów-strożów naszej nieszczęśliwej ojczyzny.

V.

Przy odsłonięciu pomnika w Rapperswyl (w Szwajcaryi) wypowiedziane w języku francuskim.

(dnia 16 sierpnia 1868)

Powiem krótko — lubię skąpstwo słów. Cierpiący zwykle mówią tak — a ja jestem Polakiem. W przeszłości szable nasze nie były długie, a sięgały daleko; piersi teraźniejszych naszych męczenników nie szersze od innych, a mieściły w sobie nieraz — Boga!

W rocznicę stuletniej naszej walki z przemocą, my sieroty w ludzkości, przyszedłszy do ziemi wolnej i szczęśliwej założyć protest przeciw naszym ciemnościom, a w tej chwili dusza całej Polski jest z nami. Kładziemy ten protest w imieniu żywych i umarłych, w imieniu kołyszek naszych dzieci i grobów naszych ojców; w imieniu tych, którzy cierpią, w imieniu tych, którzy wierzą, w imieniu tych, którzy wątpią.

Z naszych łez i z naszej za wolność wylanej krwi powstaćby mogło tak wielkie jezioro, jako to przed nami; z naszych mogił na polach, w ciągu stu lat bitew, urosłaby góra, góra tak wysoka, jako jedna z tych Alp; nasza męka wystarczy na odkupienie

grzechów całego świata. Jesteśmy narodem, w który wciela się Chrystus!

Jako taki, nasz naród nie staje przed wami z jękiem żebraka, chociaż jego łańchmany wiszą na nim, ale staje on z powagą i pewnością wielkiego bogacza ducha.

Ostatnie nasze powstanie, a mianowicie odbywające się przed siedmiu laty manifestacye Warszawy, tego miasta, które słusznie nazwano sercem Polski — objawiły światu doniosłość siły, o której stracono pojęcie — doniosłość siły moralnej.

Z tym skarbem przychodzimy do was, do was wszystkich, którzy walczyście za jakąkolwiek świętą ideę, i pragniecie zdobyć dla niej zwycięstwo. Niech dogorywające na swych tronach na pół zgniłe bałwany siły brutalnej, uzbrajają ciemne masy w szaspoty i iglicówki — wy pragnący wolności i rządów bożych uzbrojcie się w broń, którą wam Polska męczennica podaje.

Jeżeli osiągniecie pracą wewnętrzną tę siłę moralną, o której mówiłem, natenczas proste kije staną się w rękach waszych mieczami: (wy Szwajcarowie wiecie o tem), a temi kijami, jak powiedział jeden z naszych bohaterów, zdobywają się karabiny, karabinami działa, a działami fortece.

Stawiamy na waszej ziemi, szlachetni i niepodlegli Szwajcarowie, pomnik nasz narodowy. To nie pomnik naszej niewoli, to pomnik naszej siły i wytrwałości, a oby stał on się kamieniem grobowym zamykającym stuletnie nasze męczeństwo.

A teraz, wam wszystkim, tu zgromadzonem, reprezentantom narodów kochających moją ojczyznę — w jej imieniu dziękuję za objawione współczucie dla niej.

A tobie ziemio gościnna, ziemio wolna i święta, tobie o Szwajcaryo, twoja siostra Polska przez moją rękę na znak miłości i wdzięczności przesyła swoje błogosławieństwo. Kto jest poetą nieszczęśliwego ludu, jest prawie kapłanem. I w tej chwili zdaje mi się, że mam posłannictwo i prawo błogosławić ciebie!

VI.

Podczas uczty dla Karola Libelta we Lwowie.

(dnia 12 kwietnia 1869)

W starej republice Rzymu był zwyczaj głębokiego znaczenia. Oto kiedy jeden z jej bohaterów, chwilowy pan tej pani świata, odprawiał swój tryumf, i ciągnął na złotym wozie, z wieńcem laurowym na skroni, wśród grzmotu puzonów, przy okrzykach uwielbiającego go ludu — to ciągnął na kapitol przez *Via sacra*, aby pamiętać, że sam jest jako żywy proch między świątyniami Bogów; i równocześnie ktoś na ten cel przeznaczony, idący przy nim, szeptał mu do ucha: Pomnij, żeś ułomnym, pomnij żeś śmiertelnikiem! — a ten głos, panowie nie był dysonansem w odgrywającej się harmonii dla tryumfatora — on był jej uzupełnieniem.

Tym tryumfátorem obecnie — my jesteśmy. W uczczeniu jednego z najzasłużeńszych rodaków, tryumfuje w nas duch narodowy i święci swoje zwycięstwo. Dzielimy się chwałą Libelta — liście z jego wieńca i nasze osłaniają czoła. Szczęśliwi, rozpromienieni na złotej fantazyi toczymy się wozie. Potężnie

biją nam serca ; każdy z nas czuje się młodzieńcem i gotów „dusić centaury“. Obawa jest, abyśmy nie poddali się tej chępliwości, która jest grzeszną, a przez obcych nazwaną została chępliwością p o l s k ą. A więc w takiej chwili, niech was nie razi, panowie, że odezwie się głos, głos na pozór niewdzięczny a konieczny, i nie psujący, lecz uzupełniający harmonię naszych uczuć, głos który wam powie : Pomnijmy, żeśmy w niewoli ! pomnijmy, żeśmy narodem bez ojczyzny !

Nie mamy jej ! A co pomimo tylu ofiar dotąd jej nam nie wróciło ? Bezmyślna senność milionów, nieobudzonych do narodowego życia, i wrodzone nam lenistwo lub samolubne zadowolenie większej części czuwających. Ostatni winni są za senność pierwszych. Jakkolwiek byliśmy pętani — ruchu budzącego innych, nikt nam wzbronić nie mógł. Lecz, jak powiedziałem, byliśmy leniwi lub zadowoleni. Leniwi — pomimo, że nas smagano biczem ! zadowoleni — pomimo, że krępowano naszą wolę !

Są dwa wyrazy bliźniacze, rymujące ze sobą, i jakby przeznaczone, aby zawsze szły w parze. W nich zawartą jest złota, zbawienna reguła ; w tej regule jedyny nasz ratunek. Lat temu dwadzieścia kilka, z ust dwóch ludzi stojących na dwóch ostatecznych krańcach rymotwórstwa polskiego, bo jednym był wielki wieszcz Słowacki, drugim znany swojego czasu i sowiec obśmiewany, z kąd inąd zresztą zacny wierszokleta — z ust obudwóch, z głębi ich patryotycznego ducha, prawie równocześnie wyrwały się one dwa wyrazy — a te wyrazy są : Do pracy Polacy !

Do pracy, do narodowej pracy, wzywa nas opuszczona ojczyzna. Ktokolwiek nie jest pogardy godnym pasożytem, wyzyskującym na własną jedynie korzyść trudy i zasługi pokoleń dawnych, męki i ofiarną krew terażniejszych — niech wstaje i niech miesza się w szeregi polskich pracowników. Gdzie spojrzeć, leżą odłogi. Każdy w swoim zakresie, według swoich sił i zdolności znajdzie na nich do pracy miejsce — byle chęć była. A do tej pracy przede wszystkim potrzeba nam jedności i zgody. I niech nie dziwią się nasi nieprzyjaciele, że o tę cnotę tak nam trudno, niewolnikom wolno być w złym humorze. I ztąd większa część naszych zawiści, uprzedzeń i niechęci społecznych i osobistych. Potrzeba nam zgody, bo nam potrzebna siła. Słabość jest w złości i egoizmie, a silnym tylko miłujący. Więc nie rzucajmy łatwo kamieniem potępienia. Kamienujemy czyny, nie ludzi, bo ktoś z nas może powiedzieć, że nigdy i w niczem nie zawinił przeciw ojczyźnie?

Nie mówmy nikomu: „Oto my pracujemy od samego rana, a ty przychodzisz dopiero wieczorem“. Ci opóźnieni niech nam będą najmiłsi i najdrożsi — Polska jak ów gospodarz ewangeliczny, zapłaci im za dzień cały.

Nie mówmy nikomu: „Twoja praca niezdarną jest i bezpożyteczną — szkoda tej roboty“. On może myśli i chce dobrze.

Nie mówmy nikomu: „Utyłeś na chlebie cudzej pracy, próżniaku, a teraz wysilasz się nadaremnie i więcej odpoczywasz, niżeli pracujesz“. Uderzmy przed

nim czołem, bo kropla jego znoju przeważy przed ojczyzną niejednego zasługi.

I nie mówmy nikomu: „Krzątałeś się całe życie około własnego dobra, zebrałeś wielkie skarby, czego szukasz między nami, czy nowego zarobku?“ O! nie odtrącajmy go — on może właśnie przychodzi, aby złożyć narodowi część tych skarbów.

Odrącajmy tylko jednych, a to tych, którzy na to przychodzą i stają przy świętym ogniu wspólnej pracy narodowej, aby, (przebaczenie mi, panowie, trywialne wyrażenie), aby przy nim upiec własną pieczeń.

Jeszcze jedno słowo i skończę.

Czem większa wyniosłość pychy, tem głębszy następuje upadek. I odwrotnie: Im niżej kto upadnie, tem na wyższy powinien poglądać ideał, aby zabołał mocniej, przerażony przestrzenią, jaka go dzieli od tego ideału. Któż bardziej grzeszył pychą, jeśli nie nasz naród? Któż później przez surowsze przechodził tortury upadku i upokorzenia, jeśli nie my pokutujący?

Toż ideał dla przyszłej Polski musi stanąć wysoko — bardzo wysoko!

Do pracy więc! bo praca długa a droga daleka. A jeśli zapytacie, jaka Polsce droga? W płomień serc, w światło wiedzy, w lot natchnienia — w Boga!!

VII.

Z powodu Zgromadzenia ludowego odbytego we Lwowie

(d. 13 czerwca 1869).

W „Dzienniku lwowskim“ wydanym przed trzema dniami, w korespondencyi z Pragi czeskiej, czytamy: „Zgromadzenie na Zwieczynie w Czechach liczyło od 15 do 20 tysięcy uczestników, należy więc do mniej licznych, mieliśmy już bowiem zgromadzenia ludowe, w których brało udział od 45 do 50 tysięcy uczestników“.

Obywatele! Ach, tyleż was tylko godnych nosić to zaszczytne nazwisko? Miasto o stutysięcznej ludności nie naliczyż was więcej? To nie! garstką jesteście zdrowego, rozrastającego się ziarna; nad wami duch Polski i błogosławieństwo boże. Będzie plon!

Zgromadzenie ludu — słowo wielkie, potężne!

Wolność dla każdego radzenia gromadnie, publicznie, nad dobrem publicznem — radzenia, jak bywało w dawnych republikach, pod gołym niebem, pod okiem Boga — to szczyt, to korona wszystkich wolności! Tej wolności nie posiada dziś Francya, która swoją pracą i myślą, krwią i znojem, pechnęła ludzkosć

na drodze wolności na kilka wieków naprzód i która ma prawo zwać się jej przewodniczką; a tą wolnością my się cieszymy -- źle -- nie tak -- bo nie cieszymy się -- tę wolność nam narzucono -- a my nie chcemy korzystać z niej!

Radziliście, obywatele, nad sposobami uzyskania większych dla siebie swobód. To dobrze. Od złego dłużnika brać wszystko, brać co można, co się da. Ale, tu także pora zapytać, cośmy dotychczas zrobili z uzyskanymi już swobodami. Czyśmy je rozsieli po wszystkich długoletnich jego ugorach? Czy je pielęgnujemy? Czy rosną one pod naszą staranną opieką? Czy żywią się nimi? Nie, sto razy, nie! Głód moralny pożera, niszczy wnętrze kraju, a swobody leżą martwe, nieużyte po naszych autonomicznych spichlerzach!

Powiedzą, że popełniam grzech polityczny odsłaniając jawnie, a więc i przed okiem wrogów, wady naszego społeczeństwa. Naród, który nie śmie powiedzieć o sobie nagiej prawdy, i swoje błędy nosi w ukryciu nito wstydlive choroby, idzie w śmierć! Właśnie dla tego, że wierzę w przyszłość, że wierzę w siłę mego narodu, mówię o nim prawdę.

Źle się dzieje. Spimy! spimy! Niekiedy przewrócimy się z boku na bok i to nazywamy naszym życiem politycznem. Spimy! podczas kiedy przez społeczne ciała innych narodów przechodzą dreszcze przecucia wielkich, zbliżających się wypadków, a na stopy czujniejszych idą już prądy ciepła z wydobywających się z pod ziemi wulkanów.

Obywatele! wróćcie wkrótce do domów między waszych przyjaciół i znajomych. Proszę was, abyście rozgłosili między nimi te dwie prawdy :

Pierwsza : że kto nie użytkuje z przysługujących mu obywatelskich praw, składa tem dowód, że chce się także wyłamać z obywatelskich obowiązków.

Druga : że w niewoli można być wolnymi w duchu, a przy wolności można być niewolnikami.

A teraz, do widzenia, na zgromadzeniu przyszłym, kiedy nas będzie kilkadziesiąt tysięcy.

VIII.

Odpowiedz na zaproszenie pragskiego komitetu uroczystości w pięciusetletnią rocznicę urodzin Jana Husa*)

(w marcu 1869).

Jeszcze do dzisiaj cieszyłem się nadzieją współuczestniczenia w uroczystości na cześć mistrza Husa, na którą to uroczystość raczyliście mnie zawezwać. Niespodziewanie zaszły przeszkody, odebrały mi tę nadzieję — ale należąc do narodu pokrewnego waszemu rodem, siłą ducha i cierpieniem, kiedy nie mogę osobą, duchem i sercem stanę między wami.

Są następstwa podlegające prawom tak wiecznym jak Bóg. Do nich liczymy te: Po męczeństwie — tryumf; po ofercie — zwycięstwo. A więc po męczenniku — bohater; a więc po Husie — Ziska! A więc na miejscu domu, w którym się Hus rodził, stanie kiedyś kościół — a na żałobnej górze krwi i łez, na górze słoneczną ofiarą wybielonej, na waszej Białogórze — stanie kiedyś wasz panteon.

Z Polski, która jest siostrą waszą, z Polski zdeptanej a wyniosłej, krzywdzonej a miłości pełnej,

*) Według dzienników czeskich.

wznoszę do was, bracia Czechowie, toast ze znanym
waszym przodkom okrzykiem :

Kielich dla wszystkich!

Tak, kielich szczęścia, kielich wolności dla nas
i dla naszych wrogów; dla nas Polaków i Czechów,
dla nich Moskali i Germanów. A jeśli ten toast ze
wzgardą odtrąca — to z nimi bój, bój na śmierć —
o życie!

IX.

Na uczcie danej dla poety przez wychodźców polskich w Brukseli

(d. 10 października 1869).

Wzruszony, od czego zacząć? Od słów, które przy każdej sposobności wyrrywają nam się z piersi, na ustach drgają; od hasła, którem witamy nowonarodzonych jakby chrztem, niem później bierzmy się, żegnamy konających jakby ostatniem pomazaniem; od okrzyku, przy którym szlachetni ludzie całego świata gną swe czoła, sercem rosną, kiedy nasze wrogi drżą: Niech żyje Polska!

Niech żyje Polska! krzyczeli nasi męczennicy stojąc pod szubienicą, lub patrząc w lufy wymierzonych ku nim karabinów. Ten okrzyk był ich ostatnią modlitwą.

Niech żyje Polska! krzyczeli nasi żołnierze idąc do szturmów nieraz bosy, zziębli, zgłodnieli. Ten okrzyk był im siłą i ulgą.

I ja, moi szanowni, potrzebuję w tej chwili ulgi. Uraczyliście mnie czcią nad zasługi moje. To ciężar.

Czuję się przygnieconym — słodko; upokorzonym — rozkosznie. I lżej mi będzie, kiedy otrzymaną cześć odniosę do świętego imienia Ojczyzny, odniosę tam, gdzie jak krople w oceanie zlewają się wszystkie nasze cierpienia i radości, ofiary, zasługi i nadzieje. Toż pozwólcie, że dla sprawienia sobie ulgi raz jeszcze powtórzę, tym razem dla siebie samego: Niech żyje Polska!

Uczczenie, jakie mnie obecnie spotyka, należy mi tłumaczyć tak: Ludzie poświęcenia oderwaliście się od łona matki ojczyzny i odeszliście wzbogaceni jej błogosławieństwem na drogę. Skutkiem tego błogosławieństwa jest, że na tułactwie, nieraz w biedzie, zawsze w tęsknocie, przechowujecie w sobie nieskazitelnego ducha Polski i nie rozpraszacie go łatwo — a tak samo czujni jesteście na jego rozkazy. Otóż ten duch kazał wam złożyć hołd, nie mnie poecie, ale potędze polskiej poezyi! i jej wielkiej doniosłości. Bo jakież moje zasługi? Czy to zasługa dla syna, że kocha matkę? dla ptaka, że śpiewa?

Są dwie potęgi, dwa prawa, dwa bodźce, bez których Polska nie byłaby Polską, bez których zaparłaby się swojej misyi dziejowej. One są: natchnienie i poświęcenie!

Z małym wyjątkiem cały dzisiejszy świat stawia natomiast dwa inne, martwe, bezpłodne wyrazy: rachunek i utylitaryzm. O! moi szanowni i drodzy, — wszak prawda? — natchnienie, to polski rachunek! poświęcenie, to polski utylitaryzm!

Podnieśliście, panie i panowie, zdrowie poety, oddając tem cześć natchnieniu. Ja w obec was naj-

droższych, bo po za jej progami cierpiących dzieci
ojczyzny, w obec was Polacy, wytrwałych w cier-
pieniu, niezłamanych w wierze, w obec was sio-
stry Polki, wierne, niezem nieodstraszone anioły-
stróże nasze, ja chyląc czoło, podnoszę toast na cześć
poświęcenia!

X.

Na uczcie danej dla poety przez młodzież polską w Leodium (Liège)

(d. 6 listopada 1869).

Jest objaw bardzo szczęśliwy, bardzo budujący, który zajaśniał w naszym narodzie po krwawem a chwilowem niepowodzeniu naszego ostatniego powstania. Powiedziałem chwilowe niepowodzenie, bo ja, panowie, należę do tych, którzy wierzą w potrzebę, w konieczność, co więcej, wierzą w możliwość „ciągłości“ powstania narodowego. „Ciągłość powstania“ — wyraz ten ukuli w Galicyi zaprzańcy i małoduszni i ze zgrozą podnoszą go przy każdym zamanifestowaniu się naszych uczuć polskich. Tym wyrazem straszą się oni nawzajem jakby zmorą, a obrzucają go potępieniem i przekleństwem. Podziękujmy tym panom za to doskonałe sformułowanie myśli narodowej i starajmy się zasłużyć na ich zaszczytne potępienie.

Objaw, o którym na początku wspomniałem, jest ten: młodzież tłumnie, z zapalem rzuciła się do nauki. Co to znaczy? czy już zaparła się walki o Polskę, a teraz na nowej drodze szuka dla siebie powodzenia,

karyery, chleba? Nie! nigdy w to nie uwierzę. Bój dalej się toczy — trwa ciągłość powstania — a wy, panowie, między jedną a drugą bitwą chodźcie do szkoły z karabinem w rękę. W naszym położeniu czem może, czem powinna być nauka? Naprawą złamanej, ostrzeniem stępionej broni; z równoczesnem podniesieniem broni nowej, bo nauka sama przez się jest także bronią. Ułan kiedy mu pęknie lanca, chwytą za pałasz. Dopokąd nie będziemy mieć Polski wolnej, niepodległej i w dawnych granicach, nie ma mowy o poddaniu się; może być tylko zawieszenie broni, wystarczające na jej naprawę lub na jej zamianę. Bitwa została przegraną — niech żyje Polska! i dalej w bój!

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Terminu zbrojnego ruchu nie stawiam, nie stawia go nikt, ani najgorętszy z patriotów. Zanadto wiele ran mamy na sobie. Cały nasz naród jest jakby w ambulansie. O co więc chodzi? Chodzi o moralne usposobienie, w jakim się ranni znajdują. Cobyście powiedzieli o żołnierzu, okaleczonym na polu bitwy, za sprawę najświętszą, gdyby wyrzekał bluźnierczo, gdyby przeklinał sprawę za którą walczył, a walczył dobrowolnie; gdyby plwał na swoich wodzów, z których większa część nie miała nawet tego szczęścia, aby zginąć na polu, ale uwiśła na szubienicznych postronkach; gdyby ten żołnierz marzył już tylko o poddaniu się raz na zawsze zwyciężkiemu wrogowi; gdyby marzył o pojednaniu, a nawet o zlaniu się z nim! Wiem, cobyście powiedzieli? Tchórz podły! — Żołnierz sprawy świętej, godny tego imienia, ranny i zwyciężony, błogosławi swojej krwi dla niej wylanej; jeśli przeklina, to przeklina chyba

swoją niemoc i szpital, w którym się znajduje, a marzy o nowym boju, kiedy wyzdrowieje.

Chodzi więc o to, aby myśl o przyszłej walce za ojczyznę, była nam myślą przewodnią, dzierzgała się złotą nicią we wszystkie nasze czynności, we wszystkie nasze prace narodowe. Bo inaczej te roboty na nic. Odstraszającym przykładem niech nam będzie Galicya. Ile tam na pozór ruchu politycznego! ile stowarzyszeń, ile mów o pracy organicznej! a wszystko to martwe, albo niedołężne i zaspale. Dla czego? Bo ta nieszczęśliwa częśćka Polski zwątpiła o Polsce, a losy jej — o ironio! — powierzyła Austrii!

Mamy cechy, które swoją wyrazistością odróżniają nas od innych narodów na północy. Mamy gorące serce i żywą wyobraźnię. Między te dwa przymioty wbijmy klinem: rozum — a w przyszłości stać się możemy jednym z narodów, dziejowo innym przewodniczących. Czem była ta trójca, okazał złoty wiek Zygmuntów. Czem było uczucie i fantazya bez rozumu, okazał wiek, w którym zatraciliśmy ojczyznę. Bo natenczas uczucie wyrodziło się w prywatę i rozpustę, a nie zapominajmy, że nawet spisek targowicki nie składał się ze samych tylko zdrajców, byli tam także głupcy i fanteści, którym się zdawało, że bronią złotej wolności i idei republikańskiej.

Jeszcze jedno słowo. Uczciliście mnie, kochani bracia, głównie za pieśń, która nietylko brzmiała w świątyniach, brzmiała i na polu bitwy. Wyznanie „Bóg był i jest“, Polacy zawsze stwierdzali i teraz stwierdzili krwią. Jeszcze na nas nie ciąży ten wstyd, aby kto w naszym narodzie widział potrzebę bronięcia

istności Boga. Nie pojmujemy go nieraz, ale go nie zaprzeczamy. Nauki ścisłe, którym się oddajecie, budzą ateizm tylko w umysłach płytkich; w głębszych (a duch polski jest bardzo głęboki) one potęgują wiarę.

Na końcu, jakże wam podziękować za to ugoszczenie, za te objawy miłości wychodzące dla mnie z grona młodzieży, którego wyszczególniająca się zacność doszła de wiadomości kraju? Podziękuję życzeniem.

Ci z was, którzy poświęcają się chemii i mechanice, oby kiedyś stawiali dla nas młyny prochowe! a ci, którzy uczą się miernictwa, oby kiedyś wytyczali obozy! Architektom życzę, aby kiedyś na wolnej naszej ziemi oprócz fabryk, budowali także świątynie pańskie i panteony narodowe.

Podnoszę toast na spełnienie tych życzeń i na waszą cześć i pomyślność! a także, na cześć tu obecnego waszego przewodnika, znakomitego i wypróbowanego obywatela w ojczyźnie, który dziś jako tułacz przyświeca wam przykładami cnót i patryotyzmu, — na cześć Aleksandra Guttrego!

XI.

Od trumny żołnierza z powstania Kościuszki podczas pogrzebu we Lwowie

(d 8 stycznia 1870).

U naszego ludu przy pogrzebach jest obyczaj taki. Nim ubogą trumnę zsuną do dołu, staje jeden z krewnych zmarłego i w jego imieniu mówi do obecnych pożegnalne słowo. Któż z nas nie zechce się policzyć do krewnych tego cichego bohatera, tego żołnierza z powstania najczystszego, bo opromienionego anielstwem Tadeusza Kościuszki? Któż z nas nie czuje się wnukiem tego starca przeszło stuletniego? I jam jego wnuk -- i niechże mi wolno będzie powtórzyć to, co z jego trumny słyszę.

Ś. p. Antoni Piórecki mówi tak: Dziękuję wam, rodacy, za oddaną mi ostatnią posługę. Ze czcią odprowadziliście do grobu mnie żołnierza, bo wy sami żołnierzami stuletniej naszej walki o Polskę. A kraj nasz obozem, a bronią duch patryotyczny.

Nie dawajcie mi łez, wszak jam już moje wszystkie wypłakał. Zachowajcie je do waszej modlitwy za

ojczyznę. Łza poparta modlitwą i wiarą, to radość; a ból, to moc; a grób to, zmartwychwstanie!

A mówię wam, że łza dobrą jest przy skrusze, ale od łzy miłszy Bogu — czyn.

Odchodząc z tego świata — tak dalej odzywa się głos z trumny — nie będę wam mówił pochlebstw, ale powiem słowo surowej prawdy.

Trwonicie ducha na dobre chęci i na marne słowa, a pracy waszej nie widać.

Lubicie popisywać się tego rodzaju patryotyzmem, który jedna natychmiastowe uznanie, wywołuje oklaski; toż Polska nie ma z niego pożytku, bo całą korzyść wy zabieracie dla siebie. Cicho pada ziarno do roli, cicho tam kiełkuje, a z niego potem kłos i zdrowy pokarm.

Rozprawiacie o oświacie ludu, posyłacie mu czasem książki, zakładacie gdzieś niegdzie szkółki — a to, czego ten lud od wieków pragnie, za czem on tęskni, coby go od razu podniosło i uszlachetniło: Miłości! tej mu nie dajecie. Pan Tadeusz, nasz naczelnik, kochał lud, toż przez niego lud pokochał Polskę.

Pożera was niewiara. Hołdujecie sile materii, która chwilowe daje powodzenie, a lekceważycie potęgę ducha, która działa na wieczność. My kosami zabieraliśmy armaty, wy i z armatami nie podołacie wrogu, jeśli nie poprawicie się.

Takie słowa i skargi idą do mnie z tej trumny, powtórzyłem je. Jakąż im dać odpowiedź? Jedną tylko,

godną nas, godną tego patryotycznego patryarchy. Poprawimy się!

Z głębi sere przyrzekamy ci nasz ojcze: Poprawimy się!

Świadkiem niech nam będzie słońce, które niespodziewanie pośród zimy wiosennemi promieniami oblewa twoją trumnę: Poprawimy się!



XII.

Na uczcie danej we Lwowie dla Jana Królikowskiego artysty dramatycznego z Warszawy.

(d. 20 maja 1870).

Zdarza się często, że wielcy ludzie w godzinie śmierci, w chwili, kiedy ich duch gotując się do odlotu skupia się i streszcza, wypowiadają krótkie słowa, dające narodowi, z którego wyszli, rodzaj nakazu, rodzaj misji — hasło na przyszłość. Jest to ich testament.

Umierający Goethe wołał: Światła, więcej światła! Na obcej ziemi konający Mickiewicz pożegnał cały nieszczęśliwy swój naród jednym słowem: kochajcie się!

I będzie tak! I będzie kiedyś w całej bożej pełni to, co już jest w ułomnym naszym narodzie. Polska stanie się dla ludzkości jej sercem, rozlewającym po niej ciepło i miłość, dającym jej dobre natchnienia.

„Kochajmy się!” Oprócz naszego, żaden inny naród nie posiada równie wzniosłego toastu. To toast

Chrystusowy. W nim drży duch Polski, pragnący według swego przeznaczenia w żywsze, niż dotąd, życie wprowadzić boską naukę Jego.

Kiedy nasi zaborecy przypatrując się polskiej uczucie, nas niewolników, usłyszeli po raz pierwszy ten podniesiony okrzyk: Kochajmy się! — to zadrżeli, to struchleli, to zwątpili, aby taki naród na długo dał się utrzymać w pętach niewoli. Niestety! przekonali się oni potem nieraz dowodnie, że my kochamy się — tylko przy kielichu.

My poćwiertowani przez wrogów, my bardziej jeszcze rozbici wewnętrznym naszym swarem — kochajmy, naprawdę, „Kochajmy się“ — a pękną nasze okowy, a znikną dzielące nas kordony, i na wolnej ziemi, trójbliźniacy Mazur, Litwin i Rusin, szczęśliwi, rozpłomienieni padną sobie z tym okrzykiem w objęcia — a na ten widok Bóg słodko uśmiechnie się.

Chociaż nasz pokutny kielich zaprawiony jest gorczyczą, bylebyśmy nie dolewali weń własnego jadu, wychylimy go aż do dna z pokorą, umocnieni świętym okrzykiem: „Kochajmy się!“

A kiedyś nasza Polska schodząca z krzyża, pełna miłości i przebaczenia, nie wyprostowawszy jeszcze rozciągniętych ramion, odezwie się do całego świata słowem: „Kochajmy się!“.

I stanie się natenczas „Królestwo Boże“ na ziemi, o które w codziennej modlitwie, z tęsknotą, do-

pominamy się u Boga. Ale dziś, ale teraz, — sobie na siłę, wrogom na trwogę i na wzgardę, wykrzyknijmy, rodacy, ze szczerego a wytrwałego serca: „Kochajmy się!“

W takim duchu podnoszę ten toast i spełniam go.

XIII.

P r z e d w y b o r c a m i l w o w s k i m i .

(d 28 czerwca 1870).

Postawiony zostałem przez komitet centralny Towarzystwa narodowo-demokratycznego jako jeden z kandydatów do krzesła poselskiego z miasta Lwowa. Winienem najprzód podziękować temu Towarzystwu, że, chociaż nie należę do jego koła, uważa mnie za swego stronnika. Tak jest — wyznaję od dawna zasady demokratyczne i staram się pełnić je w mojem życiu, a co się tyczy polityki kraju, w tej chwili podzielam w zupełności zapatrywania się na nią p. Smolki, prezesa tego Towarzystwa.

Kandydatura moja była tu wczoraj publicznie wymienioną, zmuszony więc jestem równie publicznie wypowiedzieć, z jakich powodów uważam za stosowne usunąć się od tej kandydatury.

Rozmówiłem się z mojem sumieniem. Stałem z niem na jasno. Pozwólcie mi, panowie, przedłożyć wam rezultat tej konferencyi. Nie zabiorę wam wiele czasu — będę się starać być treściwym, a wynurzę się przed wami otwarcie.

Mam niektóre własności i rysy charakteru, mam niektóre zasady głęboko, twardo u mnie wkorzenione, które nie mogą mnie stawiać jako człowieka politycznego w dzisiejszem pojęciu i przy dzisiejszych warunkach.

Oto ich szereg :

Jestem za gorący, a przytem bezwzględnie szczery ; nie lubię krętych dróg, wolę gościniec choćby cierpieniami usłany a wprost do celu prowadzący.

Uczucie stawiam wyżej rozumu, a natchnienie u mnie to rozumu szczyt.

Przedewszystkiem cenię niezależność mojej osoby i moich przekonań ; tem samem nie łatwo poddaję się karności.

Pragnę zgody, tej harmonii dusz — jeśli komu, to nam ona bardzo jest potrzebną — ale dla miłej zgody nie zrobię nigdy najmniejszego ustępstwa z wewnętrznej treści moich przekonań — z formy łatwiej. Dla tego nie rozumiem, jak można naprzód solidaryzować się z innymi w sprawach, które dopiero narodzić się mają.

Dla spodziewanego zwycięstwa idei, chociażby w najdalszej przyszłości, poświęcę zapewnione korzyści dające się natychmiast osiągnąć przez zachwianie tej idei. Bo sądzę, że każde żyjące pokolenie, jeśli tego objawi się potrzeba, powinno być bezpłatnym pracownikiem dla szczęścia i dobra pokoleń następnych.

Dobro ogółu zdobywa się często przez ofiarę pojedynczych ludzi. Ofiara jest rozkoszą dla ducha. Otóż zawsze i wszędzie znachodzą się tacy, dla których taka

rozkosz więcej ma powabu, niż każda inna, niższa, przez zewnętrzny świat im dostarczana. Oni nie tylko ofiarują siebie, ale zachęcają, kuszą innych do ofiary, upominają się o nią nieraz gwałtownie. Ztąd nienawiść dla nich. Miałem zaszczyt, panowie, być z tego powodu nieraz nienawidzonym.

Wolę męczeństwo niż demoralizację. Wolę widzieć mój naród jeszcze w dłuższym ucisku, niż gdyby miał zdobywać pozorną swobodę przez zaparcie się swojej godności. Nie ten jest niewolnikiem, kto dźwiga kajdany, ale ten, kto schlebia i łąsi się swoim nieprzyjaciołom.

Miedzy nimi mniej jest niebezpiecznym dziki barbarzyńca katujący ciało, niż ten, który przewagą swoich środków zawsze starał się i dotąd stara się zabić naszego ducha. Rany się goją, ale z moralnej śmierci już się nie zmartwychwstaje!

Zarówno nienawidzę wszystkich zaborców. I nie pojmuję, jak można w interesie Polski wchodzić w przyjaźny sojusz z którymkolwiek z nich. Nemezis dziejowa niech się pełni! Ona każe, aby oni pożarli się między sobą. Już była jedna wojna taka — będą inne! Na ich poćwiertowanych ciałach stanie wolna Polska jednolita!

Dodam jeszcze w końcu, że jestem republikaninem.

Sam wybór na posła nie daje jeszcze wybranemu żadnego zaszczytu — jest to dopiero akt położonego w nim zaufania. Zaszczyt zaczyna się dopiero wtenczas, kiedy godnie odpowiada się temu zaufaniu. Czuję najgłębiej moi panowie, że gdybym dziś wszedł do

izby poselskiej, nie odpowiedziałbym waszemu zaufaniu. W szerokim poglądzie znikają dla mnie szczegóły. Mógłbym szkodzić nieraz prywatnym interesom kraju, patrząc daleko, myśląc o całej Polsce. Popelniałbym co chwila tak zwane kroki niepolityczne.

Przyjdzie zapewne pora, kiedy i mnie i wam wydawać się będzie, że człowiek moich uczuć i przekonań może być czynnym a nawet pożytecznym w polityce ; wtedy raczcie przypomnieć mnie sobie.

Tymczasem zostanę na skromnem mojem stanowisku, na stanowisku poety i wiejskiego gospodarza, kochającego gorąco lud, bo widzącego w nim materyał do odrodzenia, do odżywienia się psującego się naszego społeczeństwa. Wy, panowie, jako właściciele włości, którą dzierżawię, zechciejcie mi być pomocnymi w tej mojej drobnej pracy dla dobra ludu, a mianowicie dla jego oświaty. Poznamy się przytem bliżej i lepiej — i mam nadzieję, że zjednam sobie z czasem waszą miłość i uznanie, do czego dotąd nie wiele miałem sposobności.

XIV.

**Wstępne słowo do opowieści dziejów rozbioru
Polski, mianej w Stowarzyszeniu rękodzielników
lwowskich „Gwiazda“, przez jego prezesa
Mieczysława Darowskiego.**

(w styczniu 1872)

Zaczęliśmy rok nowy, rok straszny. Rok, który jest stuletnią rocznicą pierwszego rozbioru, pierwszego morderczego ciosu, dokonanego na Polsce, na wspólnej naszej matce. Po moich kilku wstępnych słowach zabierze głos czcigodny prezes waszego Stowarzyszenia i opowie wam dzieje, tych przez trzy razy powtarzających się katowskich ćwiertowań na żywym ciele naszej ojczyzny; porwie on wasze dusze i poprowadzi w żałobnej procesyi przez pierwsze stacye męki narodowej. Mnie, w tej procesyi, poruczono zaszczytny urząd chorążego; mam iść ze słowem naprzód jakoby ze sztandarem. Sztandarem Polski — krzyż! Z tem godłem wiary i zbawienia rozpoczynam boleśny nasz pochód.

Upadła Polska — dla czego? bo o to jej dzieci postarali się. Trzeba nam głęboko przejąć się tą myślą, inaczej nie podniesiemy się. Jest Bóg! bo są prawa

moralne. W stworzeniu widać, nietylko mądrość i porządek, widać coś szczytniejszego — widać sprawiedliwość. Gdzie spotykamy karę, szukajmy, znajdziemy tam grzech. Gdzie spotykamy łaskę i błogosławieństwo boże, znajdziemy tam zasługę lub szczerą pokutę.

Ze skarbów ducha nie uronić nie wolno. Bóg żąda rachunku z tego, co kto posiadał. Im kto więcej ma, tem więcej jest odpowiedzialnym. W upadku jest ten, kto stojąc na wyższym stopniu swej wartości, zsuwa się na niższy stopień. Ten jego niższy stopień, dla wielu innych, jeszcze niżej stojących, może być szczytem ich pragnień, szczytem ich spodziewanej doskonałości — a jednak ów będzie karanym, bo on stał już wyżej. Tak rozumieć należy to, co nazywamy upadkiem Polski, tak rozumieć należy jej karę i pokutę.

Przodkowie nasi pracą ducha zdobyli i posiadali takie dary niebios, których im wszystkie inne narody zazdrościły — posiadali wolność wielką i miewali natchnienia boże. Ale oni ugrzęźli później w swem zadowoleniu — i zamiast sięgać wyżej, zdobywać więcej, dzielić się posiadaniem z uboższymi, poddali się lenistwu ducha i samolubstwu, aż ich wolność przerodziła się w swawolę — i odbiegły ich natchnienia święte.

Już stojących na pochyłości ostrzegali przed przepaścią poważne głosy, wychodzące z pośród nich samych; na przeszło cały wiek naprzód przepowiadały one straszny ojczyźnie koniec. Oni mimo uszu puszczali przestrogi i przepowiednie i brnęli dalej w grzechach, wiedząc o tem, że grzeszą. A gdy budziły ich głosy sumienia, to chcąc zatracić pamięć — pili! Były czasy, kiedy cała szlachecka Polska popuszczała pasa

i piła — a te sromotne czasy, nazywają współcześni w swych zapiskach, epoką największej szczęśliwości!

My nie lepsi od naszych grzesznych ojców, ale gorsi, bo oni grzeszyli w zaślepieniu powodzenia, a my grzeszymy podczas nałożonej nam pokuty, my byliśmy przekłeci, gdybyśmy śmieli rzucać kamieniem na piorunami roztrzaskane ich grobowce! Naród, to zbiorowy człowiek — a co zdrożne człowiekowi, zdrożnem jest i narodowi. Wolno nam ciągnąć naukę z grzechów i ułomności naszych ojców, ale przytem po synowsku czcimy ich pamięć, abyśmy jako naród żyli długo i dobrze nam się wiodło na ziemi.

Pokutujący my i cierpiący, o jedno prosimy Cię Boże — o poznanie i przejęcie się „mądrością boleści“.

XV.

Na pierwszym walnem zebraniu Stowarzyszenia wzajemnej pomocy artystów i literatów we Lwowie.

(d. 17. maja 1873).

Spływa na mnie zaszczyt publicznego przemówienia przy otwarciu instytucji wielkiej wagi, a większej jeszcze doniosłości. Ta instytucya ma na celu zgromadzić i związać ze sobą pewną solidarnością wszystkich zamieszkałych w tym kraju artystów i literatów każdego zawodu.

Ludzie myśli, ludzie ducha i natchnienia, powzięli zamiar zejść się przy jednym ognisku. Już to samo upoważnia, co więcej, nakazuje zapatrywać się na tę sprawę z wysokiego moralnego stanowiska.

Nie jest to tajemnicą — ślepi to widzą, głusi słyszą — że jakieś wielkie światło zagasa, że coś wielkiego w gruzy się wali. To gaśnie światło dawnych ideałów, a bez tej ożywezej duszy, wali się w gruzy świat stary. Nie nam żałować za nim. Brzydkim on stał się i spróchniałym. Dusze w nim po większej części bez sumienia lub bez ideału; toż

świątynie jego bez świętości, a jego ewangelie bez miłości i miłosierdzia. I w tym dzisiejszym świecie przewrotność nazywają rozumem, a cnotę głupotą; obłudę nazywają pobożnością, a dobroć słabością; prywatę nazywają poświęceniem, a wierność zasadom zaciekłością i uporem. Siła jest prawem, powodzenie wszystkim. Nagromadziło, napiętrzyło się zło na wysokość babilońskiej wieży..... Niechże się wali.

Już słychać młoty rozbijaczy tych murów. Tłumy tam liczne, nieprzeliczone. Nie miano dla nich litości — będą bez litości... Czem ich karmiono, tem wyrosli.

Najpierwszy z żyjących poetów, syn narodu wielkiego, kończy jeden ze swoich poematów obrazem następującym: Wzbiera i rośnie straszna fala, mająca odrodzić i opłukać świat. Rośnie i sięga coraz wyżej — zmiotła giełdy, zmiotła już i trony. I słychać głosy przerażenia — bo ta fala sięga już i tam, gdzie stoi ksiądz ze mszałem i sędzia z kodeksem w ręku..... Sądziłiscie, odpowiada fala, że jestem przypływem morza — ja jestem potopem!*)

Uobóstwiono materję i siła jej wzbierze i zaleje świat. Oto potop przyszedł, bliski, niechybny, niezbędny! Lecz powiedzianem jest: że duch Boży unaszał się nad wodami... Jest Duch boży, jest świat Ducha, jest on, jest! My tu zebrani czujemy go w piersiach naszych! Jeżeli komu, jeżeli gdzie wypowiadać z ra-

*) L'année terrible przez Wiktora Hugo.

dośnym zapałem tę prawdę nieśmiertelną — to mnie, w obec was!

Ludzie ducha, ludzie natchnienia więcej żyją przyszłością świata, niżeli jego chwilą bieżącą. Dla jego przyszłości cierpią i pracują. Sieją, aby inni zbierali — a ich użyciem, marzyć o ucieczce, którą potomni z tych plonów na ich grobach dla siebie zastawią. Więc chociaż światło gaśnie, my wiemy, że ono kiedyś, kiedyś, nierównie świetniej zapłonie; chociaż świat stary w gruzy się wali, my wiemy o piękniejszym budynku nowego, dalekiego świata; i chociaż słyszymy szumy nadchodzącego potopu, my wiemy, że nie ma potopu bez arki i bez Araratu.

Ta arka przechować ma ideały i prawdy moralne, które są warunkiem bytu dla ludzkości, a które ona, czy chce, czy nie chce, pracą choćby tysiąca wieków na nowo musiałaby zdobywać. Ludzie ducha będą cieślami przy budowaniu tej arki. Niechże jak najwięcej dzieci Polski w tej pracy uczestniczy, a wtenczas spełnią się przeczucia wieszczów naszych, że w kształcie ołtarza wynurzającym się z fal, Araratem, będzie ofiarna Polska!

Instytucja nasza ma właśnie na celu ułatwić pracę polskim budownikom owej arki.

Duch, to wolność! Naród, czy człowiek, popada dopiero wtenczas w rzeczywistą niewolę, kiedy straci ducha. Materyalizm, to najstraszniejszy z despotów, bo tworzy niewolników dobrowolnych, ochotnych. Cóż po swobodach politycznych, jeżeli jarzmo każdy sobie sam nakłada. Serwilizm już przestał być u nas grasującą chorobą — bo stał się naturą. Ci co zasłaniają się tym absurdem, że serwilizm

może być środkiem do osiągnięcia wolności -- kłamią! Oni gną się, bo mają lokajstwo w duszach; oni gną się, bo na воск roztopiony zmiękła im kość pa-cierzowa. (*Czarny Syny ziemi* *1861 rok*)

Minął już czas, kiedy mówiono, że władza od Boga pochodzi. Dziś władza stała się Bogiem. Patrzcie! jakie zawsze i wszędzie czołobitności przed każdą władzą, choćby ją posiadał człowiek pogardy godzien! Jakie dla niego uznanie zasług, choć jeszcze nie nie zrobił! jakie uwielbienie cnót, choćby był zdrajcą i przeniwiercą dawnych własnych przekonań!

Być niewolnikiem, aby mieć niewolników, to rozkosz dusz podłych. Od takich to wstrętnych ludzi idą nieraz pokusy na ludzi ducha. Oni, którzy się sami sprzedali, a przekonywać już nie mogą, przychodzą ze słowem: kupuję! A nietylko za Judaszowe srebrniki można się sprzedąć, częściej za opiekę, za protekcję, za posadę, za widoki na przyszłość. U nas mężczyzn sprzedaż duszy jest taką hańbą, jak u drugiej płci sprzedaż ciała.

Bronić innych od takich przepaści, dawać im możność opierania się na bratniem, pocziwem ramieniu, przyczyniać się do ich niezależności, która w człowieku chwiejnym jest jego kotwicą moralną — oto zadanie naszego Stowarzyszenia.

Ludzie ducha są jak ptacy niebiescy. Nieraz jedynie Opatrzność opiekuje się nimi. Często oni bez gniazd, często ze skrepowanemi skrzydłami. Rozwiążmy im skrzydła i puśćmy na wolne loty! A może kiedy dadzą się oni wszyscy zwołać i związać w jeden

wielki wiosniany klucz zórawi i natchnąć jednym duchem i skierować na jeden cel narodowy i święty
A to niech będzie zadaniem przyszłości dla naszego Stowarzyszenia.

Czy można mieć nadzieję, że przynajmniej ta instytucja znajdzie u nas gorliwe i wytrwałe poparcie, rozwinie się, nie upadnie? ...

XVI.

Na uczcie we Lwowie w stuletnią rocznicę ustanowienia Komisji edukacyjnej

(d 17 lipca 1873).

Zdawałoby się, że po toaście dopiero co podniesionym, a tak pięknym, że zwykł zakończyć każdą polską ucztę, że po toaście „Kochajmy się” już nie znajdzie się inny, bo już nie ma toastu bardziej pięknego i wzniosłego. Jest !

„Kochajmy się” to dopiero przedsięwzięcie do świętyni ; on dopiero przygotowuje do tego toastu, który podnieść zamyślam. Kto kocha, zbliża się do Boga. Miłość jest stopniem prowadzącym do czci. Komuż oddać cześć jeśli nie Najwyższemu ? Mój toast brzmi : „Cieszymy się w Panu !”

Biesiadny to okrzyk nie nowy. Znany on był bardzo dawno ; zrodził się na skromnych, ukrytych biesiadach pierwszych chrześcijan i wtedy, kiedy z trwogą nasłuchiowano, czy centuryon nie wywała drzwi, aby powlec zgromadzonych na męczeństwo. A jak żłobek betlejemski przeobraził się i wyrósł na gmach watykański, tak ten święty okrzyk „Cieszymy się w Panu”

brzmiał później, w średnich wiekach, na hałaśliwych ucztach rozpanoszonych zakonników. Ale ja podnosząc ten toast chciałem wrócić do żłobka.

Czas zostać żołnierzami Boga i stanąć pod bronią! Już czas! Błogosławiony, kto słyszy trąby zwołujące.

Zapadamy w pierwotny, najgrubszy poganizm. Jednym tylko potęgom ziemskim oddajemy cześć. Czciemy tylko to, czego się lękamy, a miłujemy tylko siebie. I, o zgrozo! znaleźli się kapłani prawdziwego Boga rzucający kadzidła, już nie tylko na ołtarze poświęcone cesarom, ale nawet na domy ich prefektów *).

Otóż, kiedy tyle sił bije na wszystko co święte i natchnione, kiedy usta wielu lewitów drętwieją i milkną w bolesnem zwątpieniu, niech zrywa się kto wierzy i chce, i niech świadczy Bogu! niech wyznają i głoszą go usta celników i publikanów!

Wierzę w Polskę, bo wierzę w Boga; a zwątpiłbym może w Boga, gdybym przestał wierzyć w Polskę. Bóg i Polska, to nie dwie wiary, to wiara jedna. Ateusz wyznający i kochający ojczyznę, albo jest człowiekiem płytkiego, nielogicznego umysłu, albo patryotyzm kłamie. Jeżeli w jego sercu mieszka ojczyzna, jest tam i Bóg! Biedny! i o takim gościu w swoim domu on nie wie! I odwrotnie, zły Polak nie może być szczerym wyznawcą Boga; to jak gdyby kto ojca szanował a matkę poniewierał. Zły Polak będzie złym człowiekiem, choćby on codziennie się spowiadał i codziennie składał świętopietrze.

*) Ten fakt rzeczywiście wydarzył się w Krakowie w r. 1873 w czasie procesy Bożego Ciała.

Wierzmy w Polskę, chociaż dzisiejsze żyjące pokolenie nie zasługuje na nią. Wierzmy, bo są duchy i są jeszcze nienarodzeni; a to znaczy: wierzmy w zasługi i opiekę naszych przodków, a w cnotę, moc i zwycięstwo naszych potomków.

Bóg był i jest! Kto jemu ufa, ten śmiało porusza gniazda węży i szerszeni, ten na śmiech urągaczy odpowiada politowania uśmiechem; ten, kiedy nań padają kamienie potępienia, powie: lecą na mnie gwiazdy świecące i pachnące róże!

Byłeś i jesteś! a zwycięstwo zawsze przy Tobie i przy wiernych synach twoich!

Cieszymy się w Panu!

XVII.

W Samborze na zgromadzeniu wyborców

(d. 5 października 1873).

Zaproszony przez tutejszy komitet wyborczy do współubiegania się o krzesło poselskie do rady państwa — stawiam się.

Kandydaci poselscy zwykle wypowiadają przed wyborcami swoją wiarę polityczną. Ja uczynię więcej. Ja przed wami, panowie, odkryję mój grunt, moje sumienie, moją, że tak się wyrażę, glebę duchową, abyście osądzić mogli, co na takim gruncie da się zasiać i jakiego plonu spodziewać się można.

Zapytacie, panowie, jakie są moje tytuły, aby starać się, a może osiągnąć największy dowód waszego zaufania, bo prawo zastępywania was w interesach waszych moralnych w obec naszych przyjaciół i nieprzyjaciół — i na wielkiej widowni, z kądem w danym razie, wypowiedziany głos mógłby rozlecieć się szeroko i daleko. Mam jeden tylko tytuł, jedną godność, której nie zamieniłbym za żadną inną, choćby na najwyższą jaką świat dać może. Mam siebie za dobrego Polaka — i z tym jedynym tytułem przychodzę do was.

Służyłem Polsce czem mogłem : słowem i czynem, cichą łzą i głośną modlitwą. A od lat dziecięcych liczę lata mojej dla niej służby. Pierwsze żywsze uczucie, które obudziło się w mojem sercu było jej poświęcone. Pierwszy wiersz, który skleciłem, mając lat ośm, był wierszym patriotycznym.

W czem leży polskość? kto jest dobrym Polakiem? Ten kto wierzy i kocha!

Zwątpienie, to rzecz ludzka. Wątpili i święci. Chodzi więc o to, aby w zwątpieniu nie trwać, aby w niem nie rozkoszować, aby niem nie gorszyć innych, aby znajdując się w ciemnościach zwątpienia, pasować się i rwać całą siłą duszy do światła wiary. Im silniej kto wierzył, tem boleśniej nieraz wątpi — a z bólu rodzi się większa część pieśni poetów. A jednak chociaż zapadałem w bolesne zwątpienie, wlokłem się przez ten czyściec w ukryciu i milczeniu — i mój naród o tem nie wiedział. I dziś nie głosy moje patriotyczne, lecz to milczenie ośmielałem się tu podnieść jako moją zasługę.

I nie klęski narodowe, chociaż tak straszne, nie ciosy zewnętrznych naszych wrogów — ale moralny upadek narodu zachwiewał chwilowo moją wiarę i wtrącał mię w gorycz i chmurne milczenie. Słyszałem całe zgraje głosów, trąbiących po wszystkich kątach i zaułkach kraju, że już nie w Bogu i nie w nas samych, ale gdzie indziej jedyny nasz ratunek i zbawienie; widziałem publicystów i profesorów odziewających się w błazeńskie szaty Stańczyków i urągających sławom i cierpieniom narodu; widziałem historyków w liberyi lokajskiej, męczenników i apostołów szukających ka-

ryery i szczęścia w nieczystej grze politycznej, albo w grze giełdowej. Oto miecze, sroższe, niżli knut moskiewski, bagnet bismarkowski i centralizm wiedeński!

Bogu chwała, wiara moja przeszła przez te wszystkie boleści i dziś stoi twardo; zawsze była gorącą, dziś jest jak rozpalone żelazo.

Drugim objawem polskości jest miłość.

Nie jeden z nas, panowie, przyglądając się starym portretom familijnym, nieraz zdybował się z twarzą tak uderzającą, że mimowolnie wykrzyknął: Jakże piękna! to prawdziwa, typowa twarz polska! W takiej twarzy jest jasność i pogoda, szczerość i słodycz, uśmiech dziewczyny i powaga królewska; harmonia życia starogrecka i spokojna siła starorzymska; coś ze lwa — i orła — i dziecka — i anioła!

Jaką ta twarz, takim jest duch polski. Treścią jego była zawsze i jest — miłość. A ta złota nie ciągnie się przez całe pasmo naszych dziejów — chociaż pasmo nie zawsze wzorzyste. I z tej miłości płyną nawet wady nasze: zbyt uczciwa otwartość, zbyt uczciwa ufność, hojność nad możność. Zmieniły się nasze twarze, bo od stu lat przebywamy męczarnie piekła i wiele uroniliśmy z ducha polskiego. Ale ten duch tętni jeszcze w nieskazitelnej całości w niektórych piersiach, a we wszystkich innych spoczywają jego zarodki albo drżemiące, albo obcem śmieciem przewalone — i wstanie ten duch i rozmoże się i zabłyśnie szerzej i jaśniej niż za złotej epoki naszej wolności i chwały!

Obudźmy w sobie tego ducha, który był natchnieniem dla statutu wiślickiego, dla unii lubelskiej, dla ślubu Jana Kazimierza uczynionego w katedrze lwowskiej, dla konstytucyi 3-go maja, dla adresu mieszkańców Lwowa w roku 1848, dla dekretu rządu narodowego w roku 1863 — a uciszą się i załatwią wszystkie nasze wewnętrzne spory, rozwiążą się wszystkie drażliwe kwestye, dotąd nie rozwiązane i stojące na porządku dziennym.

Prawem ludzkości jest ruch naprzód, postęp ku lepszemu. Ztąd w każdym społeczeństwie, na pozór najlepiej zorganizowanem i zadowolonym, budzą się z czasem nowe potrzeby, nowe pragnienia. A te należy natychmiast uwzględniać i stopniowo zaspokajać pod grozą i karą gwałtownych wstrząśnień i wywrotów, które stosunkowo do poniesionych ofiar, dość siły i szczęścia żadnemu narodowi nie przysparzają.

Niezaspokojne te potrzeby i pragnienia wtrącają ciało społeczne w stan chorobliwy, w jakąś gorączkę trawiącą. Dzisiejsi mężowie stanu, może z wyłączeniem angielskich, rozdrażniają tylko ten stan i bardziej go jeszcze rozgorączkowują. Cobyśmy, panowie, powiedzieli o doktorze, który przywołany do chorego, zamiast ułagodzenia jego umysłu, zamiast rozpoczęcia walki ze samą chorobą, napadłby na swego pacjenta z obelgą i z kijem, dla tego, że chory — chory bez jego doktorskiego pozwolenia. Otóż dzisiejsi politycy podobni są do takich doktorów, ba, do cyrulików powiem, bo umieją tylko bolące zęby rwać i krew puszczać.

W młodości mojej byłem terorystą. Kochałem moją ojczyznę — przebaczenie brzydkiemu wyrażeniu — wściekle. Piętnowałem na zdrajcę i potępieńca niejednego, który był tylko zwątpiałym, wprowadzie nie mało winnym, jeśli nie umiał milczeć i szerzył swoje zwątpienie. Później z mądrością wieku i doświadczenia wróciłem do treści ducha polskiego, do miłości, do wyrozumienia, do przebaczenia.

Mam teraz często na myśli i na ustach wielkie słowo filozofii, pierwotnie sformułowane przez stoika Marka Aureliusza, a dopiero w nowszych czasach, pojęte i rozgłoszone, co bardzo naturalnie, przez chrześcijańskie serce znakomitej kobiety^{*)}: *Tout comprendre, c'est tout pardonner*. Kto wszystko zrozumie, wszystkiemu przebaczy. A wznosząc się nad niskie namiętności stronnictw politycznych, nieraz przypominam sobie znane przysłowie: Kto sieje wiatr, zbiera burzę — a sam dodaję: Kto sieje złość, zbierze mord! Nie lubię krwi! wolę własną łzę, niż bliźniego krew.

W naszym kraju, w tej części Polski, którą zamieszkujemy, stoimy w porównaniu z innemi jej częściami, pod względem ducha narodowego — może najniżej. Całe nasze społeczeństwo składa się, z bardzo małymi wyjątkami, ze zwątpiałych i z obojętnych. W zwątpienie wpadli niecierpliwi i małoduszni; w obojętności trwają przeżyci i nieobudzeni jeszcze do życia. Otóż, aby te martwe ciała poruszyć, ożywić, podnieść, w ruch wprowadzić, dość jednej chwili wielkiej narodowej nadziei — a w braku takiej chwili, dość magne-

*) Pani Stael.

tycznego prądu, idącego z dusz silnych wiarą i miłością, wytrwałych w obranym kierunku i związanych ze sobą zgodą braterską; z dusz, choćby na początek kilkudziesięciu, choćby kilkunastu, choćby nawet kilku. Taka, panowie, jest potęga ducha polskiego! Tego naszego skarbu, zdobytego pracą dziesięciu wieków i przekazanego nam przez ojców, a zbogaconego jeszcze ofiarą stuletniej naszej męki; tego skarbu, którego nie zabiorą nam żadni złodzieje... My tylko sami roztrwonić go możemy!

Chciałbym, panowie, być policzonym do onych nielicznych dusz; mniemam, że część ich znajdę między wybrańcami tego kraju i dlatego stoję przed wami jako kandydat do Rady państwa.

O mojem tamże zachowaniu się, powiem w dwóch słowach.

W szczególności popierać będę dążenia, aby jak najrychlej obalić obecny system rządowy, który wynosi jednych ze szkodą i poniżeniem innych.

W ogólności zaś, chcę najgorliwiej przyczyniać się, aby posłowie nasi zajęli w parlamencie wiedeńskim stanowisko podnoszące godność imienia polskiego, a polityka ich nie była ani boleścią ani zgorszeniem dla dalszych naszych braci, mniej od nas swobodnych, a patrzących na nas, jak na wschodzące słońce.

Zakończę, jeśli na to pozwolicie, panowie, wspomnieniem bardzo mi drogiem a tylko osobistym.

Miałem niegdyś sposobność zbliżyć się do Adama Mickiewicza. Pewnego razu, podczas rozmowy przystąpił do mnie nagle, i jak miał zwyczaj, wyprostował się, podniósł głowę, wysunął naprzód usta, i z tą sta-

nowością i naciskiem w głosie, które go zawsze cechowały, rzekł: Słuchaj, jeśli kiedy będziesz przemawiał do ludu — to nie mów ztąd — i wskazał na czoło — i za mało mówić ztąd — i wskazał na serce, ciągnij twoje słowo z głębi i szczerości ducha, jakoby z wnętrzości twoich.

Panowie! bez względu na to, czy ten głos podeprze moją kandydaturę, mówiłem do was jakoby z wnętrzości moich.

XVIII.

Do Seweryna Goszczyńskiego przy ofiarowaniu księgi pamiątkowej „Sobótka“ podczas obchodu pięćdziesięcioletniego jego jubileuszu literackiego we Lwowie

(d. 7. marca 1875).

Czcigodny rodaku! Z hołdem i miłością stajemy przed tobą. W ich znak chcemy złożyć w twoje ręce księgę pamiątkową, poświęconą twojemu imieniu. A jak król nad swoją purpurą — za niskie to porównanie — jak mistrz nad swoim arcydziełem, tak twój duch góruje nad twojem imieniem. Wiele dałeś ojczyźnie, więcej poniesiesz do Boga. Bo jest skarb, który się nie umniejsza, owszem, czem więcej się z niego czerpie, tem więcej go przybywa. A do takiego mocarstwa dążyć powinni ludzie i narody, jeśli ich świetność i potęga nie mają być jako blichtr i wiatr.

Czczymy więc w tobie nie tylko bohatera z Belwederu, nie tylko wielkiego poety, czcimy najbardziej człowieka, który niegdyś młody i krewki zasiadł do „uczty zemsty“ — i wstał niezadowolony. Wstał i poszedł na święte pola bitew o niepodległość narodu; poszedł w podziemia jego dziejów i jego duchowych tajemnic;

poszedł na ojczystych gór szczyty, gdzie wyżej /słońce i Bóg, a niżej zdroje i lud; poszedł na obce schody gorzkiego tułactwa — a idąc potykał się może i upadał, a wstawał zaraz i szedł naprzód walcząc i cierpiąc, wątpiąc i wierząc — aż doszedł tam, z kąd mógł wysłać gołębia ze swoim „Posłaniem do Polski“.

Wiem do kogo mówię. Mówię do jednego z czystych i wysokich i to ułatwia mi moje zadanie. Nie błahych pochwał ty żadasz. Ty wiesz, że duch dobry wtedy tylko zadowolony, kiedy wewnątrz sam siebie pochwali — a czem on wyższy, tem trudniej się chwali.

Otoczyło cię szerokie grono wielbicieli — a jakże mało w niem twych towarzyszy i rówieśników! Tu prawie wszyscy poczuwamy się do duchowego w obec ciebie synostwa. W lepszej części duszy każdego z nas znajdzie się i cząstka twego ducha. Należysz do tej jasnej gromady, o której możnaby powiedzieć, że posaży i podnosi swój naród, choćby na wieczność. Tak nie jest. Chciałbym, aby wiadano i pamiętano o tem po całej Polsce, że jedno i drugie niegodne pokolenie, zmarnować może największe zasługi swych przodków i natchnienia wieszczów i wylaną krew swych męczenników — i że tacy marnotrawcy, wraz ze swoim potomstwem idą potem w otchłań najsromotniejszej niewoli, a nawet ostatecznego zatracenia.

Pozwól, abym w imieniu mojem, i w imieniu tych, którym mam zaszczyt tu przewodniczyć, z miłością i wdzięcznością uścisnął twoją szanowną rękę. Ta ręka władała orężem — tą szablą polską, w której bywają dźwięki strun harfianych; ta ręka wydobywała ze strun siłę, co przeważa nieraz siłę miecza.

Na tem skończę — bo zdaje mi się, jakbym sły-
szał podnoszący się głos z twojej zboląlej, patryoty-
cznej piersi: Czemu dla mnie tyle czci, kiedy mój
naród w poniżeniu! Jednem mnie tylko wynagrodzicie:
Polskę róbcie!

Oto książka. Składamy ci ją z tem życzeniem,
abyś żył jeszcze długo i doczekał widoku robotników
ojczyzny — gorętszych, liczniejszych i bardziej pol-
skich, niżli oni byli w ostatnim lat dziesiątku.

XIX.

Na pogrzebie ś. p. Seweryna Goszczyńskiego we Lwowie

(d. 27 lutego 1876).

W zamierzeu naszym z tego grobu bije blask. Zrywają się głosy jak olśnione ptaki. Był już głos potężny kapłana-patryoty, i drugi, gorący obywatela-patryoty, niechże idzie i mój, mniej wymowny. Ale ten grób wymowny — z niego pożyczę sił!

Przemówić chcę w imieniu polskich literatów i artystów, bo kraina ducha jedna — a w tej trumnie jeden z jej mocarzy, jeden z naszych wodzów. Nie będę opowiadał żywota jego — uczyniono to już przedemną. Są ludzie, którzy swoim życiem, kreślą jak gdyby ewangelie — nie potrzeba jej powtarzać, a daje ona treść do zbawiennej dla nas nauki.

Wzorem byłeś cnoty i czystości; walczyłeś za prawdę i cierpiałeś dla niej. O duchu! bądźże miłościw, nam twoim dzieciom, i wspieraj nas. Powiedz nam, że szata nasza, jak szata kapłańska, nie znosi plam! Często ona zmięta i podarta, bo my idziemy przez

ciernie, i szarpią nas źli. Społeczeństwa w upadku nie lubią prawdy i mszczą się na jej głosicielach.

Lecz jeśli ta szata oprószona, to już nasza wina. Cóż robić? otrząść się i otrzepać! A jeśli już splamiona?... to ją wyprać łzami!

Byłeś twardy, surowy, niezależny — jednego tylko znałeś Pana. O jak biedny, choćby w talent bogaty, jak niedołączny, choćby we władzę potężny, kto nie uznaje nad sobą arcymistrza: Tego w niebie — tam!

Służmy dobru, prawdzie i pięknu. To trójca nierozdzielna, to dogmat sztuki i mądrości bożej. Starą modlitwę Doryjczyków „daj nam dobre przez piękne“ zastosujemy inaczej. Dawajmy piękne — tylko dla dobra i prawdy.

Kto zlepkiem gliny — błędzi. Nie ma tu na ziemi nieomylnych. To co łagodzi nawet złe: to szczerłość i prostota. Błędzimy i mylimy się, często i bardzo, bracia literaci i artyści — niechże przynajmniej to co dajemy, będzie zawsze szczerem, niechaj idzie z ducha, a opamiętanie nastąpi. Hańba tym, co frymarczają swoim talentem, co, dla własnego interesu, schlebiają złym namiętnościom ludzkim, co nie wypowiadają tego, czego ich dusza chce, ale to, czego inni chcą.

Spocząłeś, drogi mistrzu, nie doczekawszy tryumfu dla myśli twojej. Ale ty przynajmniej szedłeś w tłumach wielkich, my idziemy samotniejsi.

Oto twój „dom ubogi“ — cichy, wązki, ostatni; pokój temu domowi — a nam dalszy bój!

XX.

Do Mieczysława Darowskiego przy ofiarowaniu mu pamiątkowego albumu od jego przyjaciół we Lwowie

(dnia 17. kwietnia 1876),

Opuszczasz nas, drogi Mieczysławie, a my, mała
cząstka twoich licznych przyjaciół, przychodzimy, aby
cię pożegnać i złożyć w twoje ręce skromny podarek
pamiątkowy. Na jego karcie umieściliśmy taki napis:

MIECZYŚLAWOWI DAROWSKIEMU,

niestrudzonemu w służbie Polski;
przez całe życie ostrzem obróconemu przeciw jej wrogom,
a sercem, miłości pełnem, ku rodakom.

Zdawało nam się, że w tym napisie zawarliśmy
prawie wszystko, czem zdobyłeś dla siebie naszą cześć
i miłość. Stałeś zawsze twardo, ostro, walcząc w obec
ciemniewiczów naszej ojczyzny, jak na dobrego syna krzy-
wdzonej matki przystało. I byłeś takim i wtenczas,
kiedy cały kraj uznawał za patryotyczne, obrać demo-
ralizującą politykę bezwzględnej dla zaborczego rządu
uległości.

Jest prawo, że żaden grzech, ani cnota, nie stoi nigdy pojedynczo, bo rozradza się szybko w inne grzechy i cnoty. I jest drugie prawo, że złe, w pierwszej chwili, płodniejszym jest, niżli dobro. Toż w skutek takiej polityki rozszerza się coraz bardziej u nas samobójcze zwątpienie — (a naród, czy człowiek wtedy dopiero upada, kiedy zwątpi o sobie) — ale ty Mieczysławie zachowałeś wiarę. I kiedy, w dalszym ciągu, ze zwątpienia urodził się jego syn egoizm i drugi syn materjalizm — twoje serce pała zawsze potrzebą miłości i ofiary.

Walczyłeś z wrogami Polski, dawałeś i odbierałeś cięcia — blizny nosisz na twojem poważnem czole; prześladowano cię i gnębiono : to w porządku. Ale na twoją miłość dla rodaków odpowiadano także nieraz cięciem — kamieniem za chleb — to boleśniesz. Prędko goiłeś takie rany cudownym balsamem chrześcijańskiej wyrozumiałości i przebaczenia. Z temi bliznami na czole i na sercu staniesz kiedyś, oby jak najpóźniej, przed Bogiem. Dobrem one będą dla ciebie świadectwem.

A tymczasem żyj nam długo, zawsze krzepki czynny i gorący. Tem słowem i takim życzeniem żegnamy cię.

XXI.

Na obchodzie rocznicy śmierci ś. p. Adama Mickiewicza, urządzonym staraniem młodzieży akademickiej we Lwowie

(d. 26 listopada 1876).

Ten, którego rocznicę śmierci z pochwąły godną uroczystością od wielu lat obchodzicie, kochał przede wszystkim prawdę, — żył dla niej, wypowiadał ją głośno, z odwagą, i co za tem idzie — cierpiał za nią; a cierpiał przeważnie od własnych. Kiedy w bardzo młodym wieku, popchnięty nieprzewyciężoną siłą, znalazłem się w pobliżu naszego wielkiego Adama, wielu z rodaków znakomitych imion, mówili mi o nim: „To waryat!“ Wiem z kąd inąd, że w pierwszych latach emigracyi, kiedy Adam brać zaczął udział w wewnętrznych jej walkach i pracach, odbierał on bezimiennne listy polskie, szkalowań pełne; w jednym z nich znajdował się sznurek... I była chwila — tylko chwila — bo Adam mógł i umiał wznosić się po nad powszednie, przemijające gwary świata — ale była chwila, w której ten wielki, czysty duch zapragnął już tylko ciszy i zapomnienia, i chodził z myślą, czy wstąpić do klasztoru,

czy odebrać sobie życie!... Zgroza! — powiecie. Tak, to zgroza, ale zwyczajna i powtarzająca się od wieków. Proroków, ludzi ducha, zawsze kamienują, potem stawiają im posągi i głoszą, że byli zaszczytem dla ludzkości.

A jaka przyczyna tych przeciwieństw? Oto ta, że ludzie ducha podnosząc się w nim własną, wewnętrzną pracą, zanadto kochają i czezą wszystkie zdobyte dla siebie prawdy. Nie lubią ich przemycać — raczej wolą je stawiać otwarcie, stanowczo, szorstko, nieraz brutalnie szorstko; nie pochlebiają oni nikomu, nie dbają o popularność, o tę zdawkową monetę sławy; narażają sobie mnóstwo ludzi, i bywają posądzeni o wielką dumę, a nawet o pychę. Zwykle na to nie zasługują. Pokorni oni są w obec Boga, w obec ojczyzny i tych ojców, co dali jej chwałę; że nie są takimi w obec żyjącego ogółu, tego im ogół nie przebacza, a nie mogąc ich osiągnąć — poniża.

Mają słońca swoje promienie, i robaczek świętojański ma także swoje światło. Mam i ja swoje prawdy, które zdobyłem w boleściach mego ducha, a takie, które zdają mi się na dzisiaj potrzebne, są te: Że naród, to zbiorowy człowiek, i tym samym podlega prawom moralnym, jak każdy pojedynczy człowiek; że każde nieszczęście, każde złe, ma swoje źródło w poprzedzającym złem; że grzech nienaprawiony, nieodkupiony, rośnie i wzmacnia się przez potęgi matematyczne, że dość już było skarg i narzekań na Boga, na losy, na naszych wrogów — bo winą była w nas i dlatego upadliśmy, i winą jest w nas i dla tego podnieść się nie możemy.

Jak owe prawdy, tak kocham ciebie, młodzieży polska, bo w każdym twojem dorastającym pokoleniu zdaje mi się, że widzę lepszą przyszłość dla mego narodu. Kocham was, moi drodzy, więc powiem to, czem przepełniona dusza moja.

Jesteście dziećmi zwątpienia. Nie wasza w tem wina — ono otacza was od lat kilkunastu jak powietrze i zaraziliście się jego oddychaniem. Zwątpiali — szukacie nowych dróg, a te drogi już znane i okazały się błędnymi. Jest tylko jedna droga — po niej szedł nasz naród w złotej epoce świetności swojej; droga to zaniedbana, opuszczona, trawą zwałupiałych zarosnięta... gdzieś w jej oddali świeci biała szata promieniącego Chrystusa!... idzie prawie samotny... Oto jedyna droga dla wszystkich upadłych i cierpiących. Podnieście i rozwińcie sztandar Polski opuszczony i wkroczcie na tę drogę, jeżeli wam miłą ojczyzna i jej zbawienie. Żyjemy w strasznych czasach: kto mówi „Bóg!” tego posądzają o klerykalizm; kto mówi: „duch” — o tym prawią, że jest mistykiem, sekcjarzem, lub wizjonerem; kto wykrzyknie: „ojczyzna” — ten już chyba marzy o nowem powstaniu. Trafiło się to i mnie, a ja byłem i jestem tylko szczerym Polakiem.

Wypowiedziałem prawie nawiasowo trzy słowa, a teraz widzę, że jest w nich wielkie, zasadnicze dla Polski znaczenie „Bóg” — „duch” — „ojczyzna!” Ah! gdyby jedno młode pokolenie chciało wypisać te święte słowa nietylko na chorągwi, ale i w sercach swoich — byłaby Polska! I nie ta wyżebrana dyplomatycznemi sztukami, nie ta, któraby mogła stać się jednym więcej fałszywym dźwiękiem w orkiestrze

świata — ale ta, ocalona własną siłą i wolą, ta prowadzicielka całej orkiestry, strojąca ją do swego wysokiego tonu, prowadząca ją z piętra na piętro, coraz wyżej, coraz jaśniej, aż do stóp niezbadanego Stwórcy, i tam dyrygowałaby wiecznym hymnem na cześć Jego!

Nie mówiąc już o tych duszach, w których jest jeden tylko wyraz, ten wyraz: „Ja“ — rozważmy, czy wiele u nas takich serc, w którychby się znalazły wszystkie owe trzy słowa? Ja sądzę, że bardzo nie wiele — i przeważnie stoimy tak: w sercach, w których słowo: Bóg, nie ma słowa ojczyzny; a w tych, gdzie ojczyzna, tam nie ma Boga; a gdzie Bóg i ojczyzna, tam nie ma ducha, t. j. nie ma ożywienia; i w tem nasza nędza, i grzech i potępienie, i dlatego nie ma Polski! I jeśli lepiej między nami nie będzie, to jej nie będzie.

Młodość, to szczerłość! Czyż ja mógłbym was podejrzewać o nieszczerłość? Czyż miałbym prawo zapytać was, was, do których uszu tak często dochodzą zasady dzisiejszych postępowców, że poezya to głupstwo, że jest, co najwięcej, marnym, pięknym dźwiękiem; że dla nas w szczególności poeci są szkodliwymi; że ideały nie są dla ludzkości jej skrzydłami, lecz są zaporą, kamieniami rozrzuconemi na drodze jej życia — czyż miałbym prawo was zapytać, w jakim celu obchodzicie co roku uroczystość, poświęconą pamięci Adama? Czy to ma być jedno więcej z tych zgromadzeń, tych obchodów, tych widowisk, na które Lwów od dawna jest łakomy, a gdzie nieraz jest tłum i zgiełk, i są piękne mowy, a mało jest ducha; czy mógłbym was tak zapytać? Nie!

Bo ja wiem, że wy tym obchodem powtarzającym się rok rocznie na cześć największego z naszych, wie-szczów, że wy mnie, poetę, zapraszając dość często do głosu — że wy chcecie tem odpierać i bronić się przeciw tym szkodliwym prądom, które was zewsząd otaczają i porwać pragną. Dusze wasze młode, szlachetne, niezepsute, czują instynktowo, że bez poezyi i bez ideałów nie ma trwałego, cnotliwego życia, ani dla człowieka, ani dla narodów; że my Polacy odarci z ojczyzny, z tej państwowej naszej powłoki, my nadzy, o tyle tylko jesteście coś warci, o ile możemy wykazać wewnętrzną wartość naszego ducha. Niechże ta nagość nasza błyska klasyczną pięknnością, i niech będzie wyrzutem i wstydem dla tych szkieleatów, co obleczone w purpurę — a cuchną!

Jak powiedziałem, podnieśliście broń odporną — niech wam ją Bóg błogosławi — a niech błogosławi po dwakroć, jeżeli ją zamienicie na broń czynną. A jeżeli wam do tej zamiany zabraknie sił, to czerpcie otuchę i siłę przy tym Zniczu, przy tem ognisku płonącym dotąd w czystości swojej, a które daje nam wiarę, że jeszcze nie zginęliśmy — czerpcie je u nóg waszych matek, u serc waszych siostr, u tych kapłanek ojczyzny, u tych polskich niewiast, których część widzę tam nad nami zgromadzoną, a które patrzą na nas z góry, i błyszczą, jak kwiat nad łądęgą — jak płomyk na czole geniusza narodu!

Lecę!... ale miłość moja dla was, każe mi zejść na ścieżkę praktycznej dla was rady. Oby ona stała się streszczeniem, oby była płodnem ziarnem całego mego przemówienia. W imieniu Adama raz jeszcze

powtórzę wygłoszone tu już kilkakrotnie słowo jego : „Razem młodzi przyjaciele!“ Brak wam solidarności, brak serdecznego koleżeństwa, nie zastąpią go żadne „bratnie pomoce“; jesteście sztywni, nieufni między sobą, za mało macie ruchu, bo mało macie ciepła w sobie — a i w tem nie wasza wina. Wszakże uformowało się u nas całe stronnictwo, które ma sobie za obowiązek i zasługę oblewać was zimną wodą, i gasić każdy żywszy, choćby najszlachetniejszy objaw waszego młodego życia. Odrzućcie precz tych opiekunów, którzy wam odbierają młodość i rozbijają was. W złej, czy dobrej chwili: „Razem młodzi przyjaciele!“ Stójcie zwarci w jednym szeregu, zwarcie pracą, miłością, nadzieją! Stać w szeregu, to rzecz święta naszego obowiązku; stać w szeregu, aby mieć „czucie“ żołnierskie na prawo i na lewo, stać w szeregu, jakby z nabitą bronią!!... choćbyśmy długo, bardzo długo czekać musieli na grzmącą trąbkę, wzywającą nas za ojczyznę do boju...

XXII.

Na zgromadzeniu w rocznicę narodowego powstania z r. 1863

(d 22 stycznia 1877)

Do komisji śledczej w cytadeli warszawskiej przywołano więźnia skrupowanego. I powiedziano mu: Car nasz wielki, miłościw dla ciebie, raczył cię obdarzyć większą swobodą; jak widzisz, już nie masz kajdan na sobie, tylko postronki — mów więc śmiało. I zapytano go: Czy kochasz cara? Odpowiedział więzień: Kocham Boga i Polskę. I zapytano jeszcze: Czy wierzysz w carską moc i potęgę? Odpowiedział ów: Wierzę w miłosierdzie boże i zmartwychwstanie mojej ojczyzny. Więc z okrzykiem: Bunt! buntownik! rzucono się wściekle na niego i powalono go na ziemię, i plwano mu w twarz, i w twarz go bito. On natenczas modlił się. Tyranów obraża i trwoży dumny spokój i cierpliwość — toż deptano i krwawiono go coraz zawzięciej i urągano jego modlitwie. Zerwał się więzień jednym rzutem, stargał pętą i z gołą pięścią porwał się na zbirów. I walka straszna trwała długo; on sam jeden przeciw dziesięciu, on bezbronny przeciw zbroj-

nym. Aż go w końcu zmożono i powleczono na męki... a dom jego spalono, a część jego dzieci wymordowano...

I któż z was nie domyśla się, że mówiłem o ostatnim naszym powstaniu.

A gdyby ktoś, rzecz dalej ciągnąc, jeszcze dodał, że między licznymi braćmi tego nieszczęśliwego, znaleźli się tacy, co zamiast uzalić się nad jego losem i ogarnąć go współczuciem, oni zaniepokojeni możliwą odpowiedzialnością za swoje z nim pokrewieństwo, oni pragnący przedewszystkiem zastrzedz się, choćby na całą wieczność, przed każdym z nim współnictwem — zawołali w oburzeniu: To głupiec! ba, to zbrodniarz nawet! Należało mu przyjąć carskie łaski z wiernopoddaną wdzięcznością, a postronki, co zawsze lżejsze od kajdan, nosić dalej z uśmiechem zupełnego szczęścia i rozpromienienia; po co mu było wyskakiwać z miłością ojczyzny na dachy — ten mądry, co pielegnuje ją w ukryciu, choćby w kloace; po co te modlitwy, co obrażają i trwożą tyranów; a już to jego zerwanie się z gołą pięścią — jak nazwać! Kiedy go deptano i pastwiono się na nim, powinien był ścierpieć udając trupa... od czego duch silny! A teraz jam w niepewności i ambarasie o mój własny byt i spokój. A te jego dzieci rozproszone co chwila pukają do moich drzwi... Wszak to nie moje, to obce.

— Jakto?! Więc były takie głosy? Więc w obec moglił jeszcze niezarośniętych, w obec strumiennie rozlanej krwi, co nie miała czasu spłynąć do naszego morza czerwonego; w obec niezwalonych szubienic, na których wspomnienie mdleją matki przebite siedmiu mieczami boleści; w obec tysięcy naszych braci ska-

zanych na zaludnienie ementarzów sybiryjskich ; w obec tysięcy innych, mrących nieraz w rozpacz u zamkniętych bram cudzoziemskich domów... Jakto?! w obec tego wszystkiego, czy mogły być takie głosy?...

Na waszych czołach zgrozą sfałdowanych nad spuszczone mi oczami, widzę wypisane. Były i są jeszcze !

Ah! przez tak srogie piekło jeszcze Polska nie przechodziła! I już nam nie wystarczy dantejskie „Guarda e passa“. Jak my teraz, tak kiedyś historia narodu musi zasłonić oczy — aby przejść!

Powstanie w r. 1863 było nieuniknionem. A niech mi będzie wolno tu wspomnieć, że należałem wówczas do tych, którzy na pierwszą o niem wiadomość zapłakali jakby nad wielkiem nieszczęściem, (co nam jednak nie przeszkodziło przyłączyć się całą duszą do ruchu narodowego). Prowokacye szły od Moskwy — a były one tak dotkliwe, tak targające za trzewia najżywszych uczuć, nietylko patryoty, ale człowieka, że gdyby one były przeszły bez krwawego z naszej strony protestu — wykopalibyśmy sobie grób może na zawsze. „Naród, gdy traci w sobie poczucie cześci — umiera“; wyrzekł niedawno jeden z największych naszych mistrzów słowa. Ta cześć większą ma wartość, niżli krew i mienie; ich ubytek sprowadza tylko zubożenie, z którego jeszcze podnieść się można, lecz utrata czci — zabija. A mówiłem o zubożeniu materji, bo w świecie ducha rachunek brzmi inaczej. Krew i mienie choćby rozrzutnie poświęcone dla wzniosłej idei — nie marnieją. Ofiara taka nie jest płonna — jest płodną — a plon nieraz zbierają dopiero wnuki.

.Więc ci mali a zgarbieni, patrzący przed siebie na krok jeden, niech nie urągają tym co stoją na wyżynach ducha, skąd dla nich odsłaniają się widoki, o których tamci nie mają pojęcia; a ci biedni a zbłąkani, co odwracają się od żywej rany bliźniego, aby chwalić i szukać Boga w martwej literze zakonu, niech nie potępiają tych, co widzą Jego mądrość i sprawiedliwość rozlaną na całej przestrzeni ziemi i niebios!

Może wkrótce usłyszemy łomot i grzmot wielki: to pękać i rozlatywać się będzie góra nieprawości, ta najbardziej nas gniejąca. Za rok sześćdziesiąty trzeci zapłaci jej Nemezis rokiem „dziewięćdziesiątym trzecim!“

A nam w obec nadchodzącej nadziei co robić? Sił nierozpraszać, wewnętrzne spory koić, nawet odstępców, jeśli się skruszą, przygarnąć, chromych podopiecz, ciemnych poprowadzić, podnosić ducha do Boga — i czekać!

